№ 27. Warszawa, dnia 3 Lipca (21 Czerwca) 1886 r. Rok VI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Od dnia 8 lipca r. b. Administracya „Prawdy" mieścić się będzie przy ulicy Złotej pod nr. 23, w oficynie, na 1 piętrze. Redakcya w tymże domu od frontu na 2-giem.

Tym z abonentów miejskich, którzy nie odebrali dodatku kwartalnego w zeszłym tygodniu, rozsyłamy go przy numerze bieżącym.

POLITYKA.

OSTATNIA INSTANCYA.

Płaszcze *liberalizmu* i *konserwatyzmu* są tak szerokie, że swojemi fałdami wszystko pokryją, co tylko polityjący i socyologizujący mózg spłodzi: rozum i głupotę, sprawiedliwość i rozbój, wyzysk i miłosierdzie. Bo płaszcze te są gumowe, bardzo elastyczne, pozwalają się wyciągać po za rozmiar swego kroju, ile razy tego wymaga interes. Pamiętać o tem musi każdy, kto zblizka lub zdaleka widzi temi godłami opieczętowywane słowa i czyny ze swą nazwą sprzeczne. Gdybyśmy też obie powyższe nazwy chcieli stosować ściśle do wyroków polityki, zgubilibyśmy się w nieporozumieniach i sprzecznościach tak samo, jak wpadlibyśmy na manowce, poszukując np. w działaniach pruskich chrześciaństwa, które ma być ich podstawą i osłoną.

Bez osobnego słownika, w którym pewne wyrazy mają różne od zwykłego znaczenie, dziwną lub nawet zagadkową wydałaby się nam historya bilu irlandzkiego w Anglii. Nie zdołalibyśmy bowiem pojąć, czemu nieraz konserwatyści traktowali go liberalnie, a liberali konserwatywnie i czemu on przepadł dzięki tym, którzy powinni go byli dźwignąć, dzięki radykałom. W stare formy grup parlamentarnych ponalewano mieszaniny, obficie zaprawione samolubstwem, które stężawszy, urągają swym imionom chrzestnym. Idałem polityka jest dziś mąż stanu nie rozumny, nie uczciwy, nawet nie genialny, ale przebiegły i praktyczny — *realny*. W tej sferze pod karą niepowodzeń i upadku nie wolno teoretyzować, nie wolno poddawać się uczuciom, wolno tylko z wypadków korzystać. Ta etyka — jeśli tego wyrazu użyć można — przenika kupieckie sumienie Anglii w każdej sprawie i opłaca się sowicie, a nietylko materyalnie, lecz i moralnie. Egoistyczny, w postępach swych ociężały, w przyznawaniu praw innym skąpy, w rozszerzaniu swobód ostrożny J. Bull, dotąd stawianym bywa jako klasyczny wzór mądrości politycznej. Ministrowie angielscy, siedzący w parlamencie na workach z wełną, przestrzegający zwyczajów normandzkich, oporni każdej reformie, dostają od każdej niemal gazety europejskiej ciągle poświadczane dyplomy wyjątkowej dojrzałości. Najśmieszniejszy anachronizm, koźli upór, dziwoląg tradycyjny — wszystko jest liczone, jako objaw szczególnej powagi i rozwagi.

Historya prawie nie pamięta takiej reformy, któraby odrazu zyskała uznanie tych handlarzów i nie była kilkakrotnie duszoną przez ich parlamenty. Zdaje się, że to należy do prawidłowości ich życia, że przeciwieństwo z zasady wszystkiemu jest tam konieczną fazą rozwoju, że stara Anglia nie może niczego urodzić bez kleszczów. Naturalnie w tej prawidłowości upaść musiał i bil irlandzki. Przeciwnicy wykazali w nim wiele kalectw, których bronić nie myślimy, ale sama idea powrócenia praw narodowi uciśnionemu pozostała czystą i niezwyciężoną, pomimo całego morza błota, którem ją obryzgano. „A jednak się porusza" — może powiedzieć po wyroku Gladstone, który rozwiązał Izbę gmin i odwołał się do woli narodu, mającej objawić się przez nowe wybory.

Naród ten ma przed sobą zadanie wielkiej wagi. Jeżeli wyśle przedstawicieli, którzy zatwierdzą uchwałę dotychczasowej większości i pozostawią Irlandyę w wiekowem jarzmie, przyjmie na siebie odpowiedzialność za to okrucieństwo. Nie zwali jej wymówką, że deputaci samowolnie pogwałcili jego życzenia lub też go nie zrozumieli, bo został wyraźnie powołany do oświadczenia się za jedną lub drugą stroną. Nowe wybory odbędą się głównie pod hasłem samorządu irlandzkiego; każdy więc obywatel rzuci swój głos na szalę.

Każdy? Do pewnego stopnia słuszna zasada sądownicza orzeka, że nikt nie może się usprawiedliwiać nieznajomością prawa. Podobnie należałoby powiedzieć, że żaden anglik nie będzie mógł tłomaczyć się nieznajomością mandatu, który powierzył swojemu przedstawicielowi, bo wiedział, że ten mandat dotyczy głównie sprawy irlandzkiej. A jednakże i tu nawet musimy przyjąć okoliczności łagodzące. Wolne wybory narodu są wszędzie a nadewszystko w Anglii fikcyą, złudzeniem. Gdzie wyrafinowane matactwo w przymierzu z pieniądzem obrabia łatwowierne masy w duchu swych planów, gdzie t. z. „obywatel" wychodzi z operacyi przeróżnych agitatorów odurzony, oszołomiony, niemal bezprzytomny, tam trudno mówić o swobodzie opinii politycznej. Zawsze i wszędzie społeczeństwo nie tak myśli głośno, jak myśli cicho, ale tak, jak chcą jego obrabiacze. Wzniosłe zasady życia zbiorowego, za które ludzkość długo walczyła i za które tyle krwi przelała, dziś zwyrodniały zupełnie w obłudnych konstytucyach, nadających jedynie świeżą postać starym szachraj-

s.wom i gwałtom. Trzeba czytać opisy zapasów wyborczych, poznać tę ohydną sieć, tkaną z intryg, kłamstw i obłudy, te bezwstydne a szlachetnymi pozorami przybrane zabiegi kandydatów do łaski jakiegoś okręgu, ażeby rozczarować się do tej szumnie zatytułowanej komedyi. Pokątny doradca, jak pająk oprzędzający nieświadomego chłopa złymi podszeptami, jest miniaturą agitatora politycznego, sidłającego wyborców. W Anglii zaś te pająki są może bardziej krwiożerczei podstępniejsze, niż gdzieindziej.

Trudno więc ze składu nowej Izby gmin wnioskować o istotnem usposobieniu narodu dla myśli Gladstone'a, ale ostatecznie, ponieważ będzie to jedyny wyraz tego usposobienia, zobaczymy, czy owa myśl odleżała się już i odcukrowała, czy też John Bull uważa ją jeszcze za niedojrzałą i skazuje na dalszą pokutę za kratą handlarskiego samolubstwa i oporu.

Bądź co bądź, miesiąc obecny, w którym mają być dopełnione nowe wybory, zapisze się w dziejach Anglii pamiętną datą, zwłaszcza, gdy wypadną na korzyść bilu, co z prawdopodobieństwem graniczy. A jeżeli nawet go pogrzebią, nie zgaszą aureoli nad głową starca, który był jego ojcem. Gladstone nie mógł zaszczytniej ukoronować swego życia, a wyznajemy, że nie przypuszczaliśmy, ażeby je tak pięknie uwieńczył. Długo bowiem nie mógł on zrzucić całkiem z siebie skóry brytańskiego lisa i dopiero nad grobem zwyciężyła w nim skłonność, którą mu poczytywano za największą wadę — marzycielstwo. Polityk realny, praktyczny ustępuje tylko przed siłą, ideolog słucha natchnień swego serca. Do drugiej kategoryi należy Gladstone. Czy go naród usłucha? Jeśli nie, usłucha drugiego, który doradzi mu zgodę z koniecznością. Irlandya prawa swoje niewątpliwie odzyska, idzie tylko o to, z czyjej ręki: politycznego materyalizmu, czy też idealizmu. Wyrok ostatniej instancyi— narodu wtedy tylko będzie ostatecznym, gdy będzie sprawiedliwym.

Z NIEMIEC.

Drezno, czerwiec, 1886.

Zasiew nienawiści. — „Republikanin“ Jan Scherr jako rzecznik „konieczności przyrodzonej.“ — Głos niemca o płaszczeniu się przed powodzeniem. — Świeże groby.

Nawiązując dzisiaj przerwaną przed kilku miesiącami nić listów moich niemieckich, spoglądam ze smutkiem na czas upłyniony: jakąż to głęboką przepaść w ciągu niedługiej doby wyżłobiły pomiędzy nami a niemcami nienawiść, złość, przemoc, pogarda! Od pierwszego groźnego „Ausrotten,“ aż po niedawną „Polendebatte,“ po świeże ustawy polakożercze, po rozwiązanie stowarzyszeń akademickich i po uwięzienie pani Zamojskiej, zdaje się, że nie rok, ale dziesięć lat żalu, zgrozy i udręczeń upłynęło; a toż dopiero początek: dopiero lata następne ujrzą plony ziarn posianych ręką nienawiści...

Wracając z Czech do Niemiec, postanowiłem szukać odgłosu minionych wypadków w świadomości niemców; szukam, ale szukam napróżno: wszędzie głuche milczenie; co się stało, uważa się za fakt dokonany; oburzenia lub protestu ani śladu; „wszystko, co jest, dobrze jest,“ powtarzają z Heglem... Zdaje się, jak gdyby ludziom „serce zamarło, pierś zlodowaciała“ i „coraz podlej było na tym świecie...“

Ależ są i pomiędzy niemcami ludzie — powiadają. Prawda, przypominam sobie: przed laty znałem prawdziwych *ludzi* i między niemcami. Dopóki sami cierpieli, póty mieli jakiś zmysł na cierpienia innych; dopóki wiał na nich jakiś lepszy duch wszechludzki, filozoficzny, wygłaszali i wypisywali wielkie, szerokie zasady braterstwa ludów, sprawiedliwości. Ale dziś, kiedy czad zwycięstw i odurzenie się własną wielkością przyćmiły mózg większości, milczą one, albo mówią od rzeczy.

Czytaj — znów mi powiadają — co zacny, niezłomny liberał, Jan Scherr świeżo ogłosił: to głos, jakiego szukasz, to wykrzyk czystego sumienia niemieckiego. Czytam tedy „Gestalten und Geschichten,“ świeżutką księgę autora, który woli pod krzyżem Zurychu, niż wśród orłów cesarstwa przebywać, który w przedmowie nazywa siebie „starej daty republikaninem.“ I cóż tam znajduję? „Jedna jest tylko na świecie prawdziwa wszechwładza: konieczność przyrodzona. Z nieubłaganym jej musem i przymusem ile można jakoś się pogodzić, to całe zadanie społeczeństwa.“ Czyli, po prostu mówiąc, „spuszczaj się kumie na dno!“

Z polityki pruskiej nasz „republikanin“ nie jest zadowolony: zaniedbuje ona niemieckość; dla wątpliwych korzyści przymierza z cesarstwami ościennemi, rzuca na pastwę obcych prowincye nadbałtyckie i niemców austryackich. „Obawiam się, że prędko, bardzo prędko nadejdzie czas, gdy naród nasz wystąpić będzie musiał do walki śmiertelnej ze Sławami i Sklawami (mit der Slaverei und Sklaverei), a wtedy za późno spostrzeżemy się, co to znaczy dla teraźniejszości zaprzedawać przyszłość,“ — ponieważ „każdy, dziś na zesłowiańszczenie rzucony niemiec austryacki lub nadbałtycki, stanie się w przyszłości wrogiem Niemiec.“

Z francuzami — powiada — trzebaby się starać pogodzić i iść ręka w rękę, bo „Niemcy i Francya, złączone i wzajemnie się dopełniające, mogłyby wspólnie światu rozkazywać.“ Więc tedy dla szanownego „republikanina“ panowanie nad światem najdroższem jest marzeniem?

Jednakże, aby ze sprawiedliwością się nie rozminąć, przytoczmy jeszcze słów kilka, które nas najbliżej obchodzą i w których brzmi słaby protest, jeśli nie przeciw polityce tępienia — bo o tej milczy i na nią *consentire videtur* — to przynajmniej przeciwko wydalaniom; chociaż i tu przemawia nie w imię zasad ludzkich, ale tylko ze względów oportunistycznych: „Zdaje mi się — mówi — że się nam prędzej czy później boleśnie dostanie za nagłe, wśród ciszy i pokoju przedsięwzięte wyganianie cudzoziemców.“ Obyż!

Szczersze, serdeczniejsze są żale jednego z młodszych pisarzy niemieckich na powszechne obniżenie szlachetności i podniosłości uczuć w Niemczech dzisiejszych.

W jednym z ostatnich numerów znanego tygodnika *Magazin für die Literatur* (23), rozmyślając nad „Nędzą liryki współczesnej,“ tak p. Otton Ernst narzeka na znieczulenie moralne rodaków swoich, upatrując w niem upadek zdolności przejmowania się poezyą:

„Płaszczenie się przed powodzeniem—to główna cecha czasów naszych. Płaszczenie się to i pełzanie jest wyrazem tchórzowstwa moralnego i umysłowego. „Kierownik państwa naszego, to geniusz!“ Ergo: przydušmy w sobie własne przekonania. „Jest on olbrzymem czynu!“ Ergo: rzucajmy się w proch i pognębiajmy mniejszość, gdziekolwiek się zdarzy. Błyskające szable i lufy karabinów, działa Kruppa, te imponują, bo znakomicie umieją zyskać sobie

---

3)

POWIEŚĆ.

ODDECHY.

Pozornie uspokoił się, we wnętrzu jego wszakże drżało jakieś nieuciszone uczucie zestraszenia. Uczucie to bądź trzymało go w zupełnej bezwładności, bądź nastrajało do gwałtownych uniesień. Chwilami Trinkbier gotów był popełnić szaleństwo, rzucić się na kogoś lub targnąć na siebie, a gdy ochłonął, znowu wpadał w stan lękliwości.

Z takiem usposobieniem wyszedł z biura. Na rogu jednej z ulic dostrzegł afisz, zapowiadający zgromadzenie współwyznawców partyi demokratycznej na godzinę piątą. Stanął, odczytał papier uważnie, oddalił się wolnym krokiem, wrócił znowu do afisza, popatrzył nań raz jeszcze i pośpieszył ku domowi. Spojrzał na zegarek: była godzina czwarta.

Służąca, otworzywszy mu drzwi, rzekła:

— Ach, dobrze, że pan już jest...

— Co się stało?

— Dzieci chore, kaszlą, mają gorączkę. Pani zwlekła się z łóżka i płacze...

Rzeczywiście Trinkbier znalazł dwóch chłopców w łóżku z obwiązanemi gardłami, jeden chodził, ale również miał twarz rozpaloną i szklane oczy; czwarty jedynie biegał żwawo; matka siedziała blada i zasmucona.

— Co im jest? — zapytał.

— Albo ja wiem—odrzekła żona. W mieście panuje dyfteryt, pewnie go dostały.

Dzieci, ujrzawszy ojca, ożywiły się, zaczęły z nim rozmawiać i chwilowo zatarły w sobie znamiona choroby.

— Niepotrzebnie zatrwożyłaś się— rzekł Trinkbier — nic im nie będzie.

Zjadłszy obiad, ucałował tylko dzieci, na które nie zwrócił należytej uwagi i wybiegł na miasto. Z głową spuszczoną i obciążoną uporczywemi myślami, podążył prosto do hotelu, gdzie miało się odbyć zebranie demokratyczne. Wyglądał tak, jak gdyby szedł zwycięzko w napadzie bezwiednej, ale nieprzepartej energii.

Sala napełniona była ludźmi wszelkich warstw, ze znaczną przewagą niższych. Na podwyższeniu stał wytwornie ubrany, o semickiej twarzy mówca, który gromił przedstawioną świeżo sejmowi państwa ustawę o monopolu wódczanym.

— „Jest to — dowodził on — wilczy dół, nabity złudnymi pozorami, w który rząd chce łapać naiwne zające. Pragnie zmonopolizować wszystko, ażeby w każdej dziedzinie życia ekonomicznego zyskać posłuszne mu, bo od jego woli zależne gromady ludzi gotowych tańczyć, jak im zagra. Nie sądźcie, ażeby to był system nowy, stara to metoda politycznych Molochów.“

— Kłamiesz pan! — zawołał Trinkbier śród powszechnej ciszy.

Obecni byli tak zasłuchani, że nie wiedzieli, z czyich ust padły te słowa. Dopiero gdy najbliżsi sąsiedzi niezadowolonego ześrodkowali nań swoje spojrzenia, za nimi inni zwrócili się ku niemu. Po sali przeleciał szmer.

— „Ktoś tam, spuszczony z kanclerskiej smyczy — ciągnął dalej mówca — ukąsił mnie zarzutem kłamstwa. Ponieważ nie wydajemy tu wyroków zaocznych, poproszę więc szan. zgromadzenie, ażeby po mnie temu panu pozwoliło wystąpić z obroną winnych. Może ujrzymy istotnie

powodzenie... Grasujące w naszych czasach ubóstwianie osobistości jest tylko wyrazem ślepej czci dla powodzenia... Dobrze powiedział niedawno Eckstein: „Takich ludzi, co sobie wyobrażają z całą naiwnością, że naczelnik batalionu, albo radca ministeryalny znaczy dla kraju przynajmniej dziesięć razy więcej, niż najlepszy poeta, zliczyć można na miliony..." Opowiadają o Schopenhauerze, że przy obiedzie w hotelu, w którym stale jadał, kładł zwykle przed sobą frydrychsdora, a zapytany: dlaczego to robi, odpowiedział, iż przeznacza go jako stawkę, którą przegra, jeżeli siedzący obok niego niemieccy oficerowie choć raz podczas obiadu o czem innem zaczną mówić, jak o koniach, rangach i balecie. Anegdotę tę powtórzył niedawno jeden z najlepszych naszych miesięczników i tak ją zakończył: „Ale oficerowie nie przestali ani razu rozmawiać o ulubionych przedmiotach," poczem dodano w nawiasie: „I dlaczegóżby mieli przestać?" — Cóż za anielska niewinność! Dlaczego mieliby przestać? Bo trzeba być ostatecznie ubogim na duchu i zgoła nieokrzesanym, ażeby codzień przy obiedzie gadać tylko o koniach, rangach i balecie. Ten, co anegdotę powtórzył, chciał nawiasowym dodatkiem swoim umizgnąć się „duchowi czasu," bo też istotnie w „duchu czasu" jest wymawiać słowa: Hamlet, Otello, Wallensztajn — ale tylko jako nazwiska sławniejszych koni wyścigowych... Kto pragnie przyjść w pomoc temu upadkowi ducha w Niemczech, powinien zacięcie walczyć z bizantynizmem niemieckim, nauczyć niemców coprędzej zacząć myśleć samoistnie i obalić groźnego bałwana, zwanego *Powodzenie*."

Nim on upadnie, ciężko się tu oddycha! Nawet tam, gdzie dawniej świeższe, ożywcze wiały tchnienia, nawet w literaturze i sztuce czuć jakieś stęchłe i zabójcze wyziewy. Ubóstwo, niepłodność i przeżuwanie, to ich znamię obecne.

Entuzyaści, duchy czystsze wymierają: świeże mogiły Scheffla, Rankego, króla Ludwika nie porosły jeszcze kwiatami. Inni milczą, albo prawią, jak Scherr, o „konieczności przyrodzonej..."

Zapowiedziane rozprawy sejmu monachijskiego wkrótce się rozpoczną i będą zapewne nader zajmującemi: dowiemy się z nich może, ile tragiczny zgon króla bawarskiego był „koniecznością przyrodzoną," a ile nieprzyrodzoną.

Jan Karłowicz.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Parlamenty spiesznie załatwiają sprawy bieżące, poczem zaraz nastąpią ferye.

W porze odpoczynku politycznego zaczną się zjazdy monarchów i ministrów, zapowiadają już spotkanie cesarzów niemieckiego i austryackiego, przedtem zaś jeszcze ministrów spraw zewnętrznych trzech cesarstw. Ci ostatni naradzać się mają w sprawie bułgarskiej, gdyż ma być przedsięwziętą akcya zbiorowa mocarstw, rozumie się, dyplomatyczna, z powodu naruszenia przez księcia Aleksandra postanowień konferencyi europejskiej i warunków umowy z Turcyą. Poseł rosyjski w Konstantynopolu wręczył już notę, w której zwraca uwagę Porty na nadużycia, jakich dopuścił się rząd bułgarski.

Tymczasem książę Aleksander i Karawełow nie mały mają kłopot ze zgromadzeniem narodowem, którego członków powstrzymywać muszą wszelkimi sposobami od postanowień w obecnej dobie zbyt śmiałych i niebezpiecznych. Rząd bułgarski musiał zrobić pewne ustępstwa stronnictwu radykalnemu, które domagało się obwołania niezależności zjednoczonego kraju. O nastroju członków zgromadzenia świadczy fakt, że kiedy jeden z deputowanych z północnej Bułgaryi nazwał kolegę swego „posłem rumelijskim," wszczęła się taka straszna wrzawa, że mówca po godzinie zaledwie zdołał wytłomaczyć, iż wyrażenie to wymknęło mu się przez omyłkę. Nawet posłowie mahometanie krzyczeli również zawzięcie „dołu!" (precz), jak ich chrześciańscy towarzysze.

Pretendenci francuscy wyjechali już z granic kraju, ogłosiwszy przed tem manifesty, w których zapewniają naród, że tylko monarchia zdolna jest zapewnić Francyi porządek wewnętrzny i powagę na zewnątrz. W odezwach swych książęta występują otwarcie przeciw istniejącej formie rządu, manifesty ich nie wywołały żadnego prawie wrażenia, właściwie nawet są one na rękę Freycinetowi, poniekąd bowiem usprawiedliwiają *a posteriori* przesięwzięte przezeń środki. Niektórzy ambasadorowie francuscy bądź to przez sympatyę dla pretendentów, bądź też w przypuszczeniu, że wygnanie książąt utrudni położenie przedstawicieli Rzeczypospolitej przy dworach monarchicznych— podali się do dymisyi. Ciekawym jest fakt, że ta sama Izba deputowanych, która wygnaniem książąt stwierdzić chciała ostateczne zwycięztwo zasady republikańskiej, w parę dni potem odrzuciła wniosek, żądający zniesienia tytułów szlacheckich.

Parlament angielski został już rozwiązany, wybory odbędą się w pierwszych dniach lipca, nowa Izba jednak zbierze się dopiero w jesieni. Gladstone, z zadziwiającą w tak późnym wieku energią, broni swej polityki, wystąpił on jawnie przeciw umiarkowanym whigom, którzy zapewne w znacznej części przyłączą się do zachowawców. Zawiązał on natomiast rokowania z przedstawicielami różnych sekt religijnych, którzy w zamian za zniesienie niektórych przywilejów kościoła anglikańskiego obiecują głosy swych jednowierców.

Parlament niemiecki został rozpuszczony na czas letni, przedtem wszakże odrzucił on raz jeszcze projekt podatku od wódki, przedstawiony w zmienionej formie. Dla popierania kolonizacyi niemieckiej w prowincyach wschodnich utworzoną została komisya osadnicza, zabierze się ona zaraz do roboty, ponieważ rząd pruski zakupił już kilka majątków i — niestety — nie od niemców, lecz od polaków. W ostatnich czasach sprzedali dobrowolnie obszerne posiadłości hrabiowie Łubieński i Miączyński; stan interesów nie zmuszał ich do tego bynajmniej. Przykład ten znajdzie zapewne licznych naśladowców, bo rząd płaci dobrze, a poczucie obowiązków obywatelskich dla szlachetnie urodzonych panów nie istnieje. Opinia publiczna osądzi ich także pobłażliwie, co najwyżej, udzieli grzeczne napomnienie. Do energicznej obrony bytu narodowego inteligencya polska w Prusach i Poznańskiem nie jest już zdolną, umie ona tylko skarżyć się i podawać petycye. W zeszłym tygodniu minister Gossler odwiedził Poznań, deputacya „ojców rodzin" udała się doń, rozumie się, z petycyą, czekała w przedpokoju dzień cały, aby się dowiedzieć w końcu, że p. minister wyjeżdża i nie ma czasu jej przyjąć. Postępek taki gdzieindziej uważanoby za straszną obelgę, ale poznańscy ojcowie rodzin spokojnie przyjęli policzek, skarżą się tylko na niegrzeczność i przygotowują zapewne nową petycyę zbiorową, która tak samo jak wszystkie poprzednie nie odniesie żadnego skutku. Naiwność taka jest nie do wybaczenia, łączy się bowiem ona z poniewierką godności narodowej i ludzkiej.

Stosunki między Szwecyą i Norwegią naprężyły się znowu. Norwegczycy domagają się utworzenia zupełnie oddzielnego ministeryum spraw zewnętrznych, dotychczas bowiem na politykę państwa

---

prawdę. Tymczasem twierdzę, że rząd w monopolu wódczanym zastawił na nas sidła, że gra z nami nierzetelnie i że w tej grze najniecniej pomagają mu narodowo-liberalni, a między nimi obecny burmistrz poznański..."

— Kłamiesz pan! — powtórzył Trinkbier słabszym i drżącym głosem.

Teraz wszyscy obejrzeli się na niego. Był kredowo biały, usta miał sine a oczy błędne. Wszyscy zdumieni byli, zamiast zuchwalca, widząc tchórza, który trząsł się, jak gdyby go opętał dyabeł strachu. Mimo to gniew ogarnął zgromadzenie. Zaczęto szemrać, wykrzykiwać, powstała wrzawa, którą uśmierzył mówca, zawoławszy:

— „Szanowni słuchacze! Skończyłem a prezydującego proszę, ażeby temu panu dał głos."

— Jak się pan nazywasz? — zapytał prezes.

— Trinkbier — odpowiedział tenże, zachwiawszy się na nogach.

— Pan Trinkbier ma głos.

Ale Trinkbier pozostał na miejscu. Nie miał siły ruszyć się, stracił zupełnie świadomość położenia, trząsł się jak galareta, wodząc bezmyślnym wzrokiem wokoło.

— Na mównicę!

— Dobądź języka!

— Najmita!

— Warczeć umiesz, a szczekać — nie!

— Agent!

— Szpieg!

Wśród tych złorzeczeń i hałasów kilku najzacieklejszych porwało go i zaciągnęło ku estradzie. Trinkbier stanął i otarł kroplisty pot z twarzy.

— Słuchamy! — krzyknięto w sali.

On milczał i tylko spojrzeniem błagał przewodniczącego o obronę. Rozległy się śmiechy, a śród nich wołania:

— Słuchamy!

On ciągle milczał.

— Pan zrzekasz się głosu? — spytał prezes.

Trinkbier kiwnął głową.

— Za drzwi go! — wrzasnęli zgromadzeni i Trinkbier, jak falą uniesiony, wynurzywszy się kilkakrotnie z jej prądu, wypadł na ulicę.

Tu odzyskał przytomność i sprężystość. Lekko podskoczył i popędził ku domowi bez kapelusza. Gdy znalazł się w mieszkaniu, odetchnął i nie zaglądając do dzieci, usiadł, podparłszy głowę. W tej zadumie przesiedział blisko pół godziny. W głowie myśli musiały mieszać mu się bezładnie, bo blada twarz odbijała coraz nowe, a zawsze przykre wrażenia. Kilkakrotnie szepnął: „Zbóje — szubrawcy — hołota." Nareszcie wstał, strzepnął z siebie smutek, jak kaczor wodę, i zaczął chodzić po pokoju raźno. Powoli wstępowała w niego otucha, oczy zamigotały weselej:

— Ciekawym — mówił do siebie — co powiedzą...

A po chwili dodał:

— Chyba dosyć...

Monolog ten przerwała żona:

— Lorenz, Lorenz!

— Dzieci jednak chore — rzekła, gdy wszedł do niej — August też się położył. Od czego taką krwawą rysę masz za uchem? I tużurek rozdarty.

— Przewróciłem się w ogrodzie — odparł Trinkbier i zaczął oglądać dzieci.

— Prześpią się — mówił — i będą zdrowe.

— Dałby to Bóg.

— A ty jak się masz?

— Niedobrze, mój drogi, piersi mnie bolą, ale to może z utrudzenia.

— Odpocznij, ja już nie wyjdę.

Wrócił do swego pokoju i zajął się robotą, którą często przerywał, kładł pióro, rozmyślał i wzdychał. Gdy noc zapadła

nie mają oni żadnego wpływu. Szwecya przystać na to nie chce, ale proponuje wspólne ministeryum, odpowiedzialne przed delegacyą obu parlamentów, podobnie jak w Austryi. Obie strony nie zgadzają się na ustępstwa i zdecydowane są raczej na zerwanie unii.

BADANIA NAUKOWE.

USTRÓJ SPOŁECZNY U LUDÓW PIERWOTNYCH.

II.

Wyspy Pelau stanowią jedną z grup archipelagu Karolińskiego i zawierają obecnie do 4,000 głów ludności, w tej liczbie 1,500 wojowników. Lecz i tu spostrzegamy objaw, stale się powtarzający wśród wyspiarzów oceanu Spokojnego — gwałtowne wymieranie rasy, wynikające z bezwzględnej prawie niepłodności kobiet, objaw, nasuwający przypuszczenie, że za jakieś lat kilka rasa ta pierwotna wymrze do szczętu. Tak np. roczna śmiertelność na wyspach Pelau wynosi 14%, a cyfra urodzeń dochodzi zaledwie 1.7%! Wszak jeszcze przed laty dziesięciu Kubary ludność tamtejszą szacował na 5,000 głów. Wobec takiego stanu rzeczy, powtarzającego się niemal stereotypowo jak długa i szeroka piąta część świata, wśród badaczów europejskich odzywają się nawoływania Quatrefagesów, Antre'w i innych do pośpiechu w badaniach nad tą rasą pierwotną, bo wkrótce będzie zapóźno. Nieludzko brzmieć muszą takie okrzyki, które w człowieku widzą jedynie suchy przedmiot studyów — nic nadto; wszelakoż musimy się zgodzić, że nauka, jeśli chce poznać byt wyspiarzów, winna spieszyć się niepomiernie. Wszak z 300,000 maorisów z przeszłego stulecia ocalało zaledwie dwa lub trzy dziesiątki tysięcy, ze stu tysięcy maryańczyków pozostało nie więcej nad kilka setek i to porozumiewających się w języku hiszpańskim! Odkąd noga człowieka białego wkroczyła na owe odległe punkciki ziemi wśród niezmierzonych przestrzeni wód— od tej chwili wyspiarze wymierają z szybkością przeraźliwą, i to przedewszystkiem dla braku potomstwa. Czy to jest skutkiem zetknięcia się z europejczykami, czy też bezpłodność taka wypływa z przyczyn innych, tkwiących już w warunkach miejscowych jeszcze przed wylądowaniem rasy białej—podzielone są zdania. Quatrefages jednak i wielu wybitniejszych uczonych nie waha się przypisać tego przyczynie tamtej; na podstawie jakiego rozumowania, mówić nie będziemy, zaznaczając tylko fakt wygasania rasy wyspiarzy, a w tej liczbie i pelauczyków. Ci ostatni stanowią jednolitą masę zarówno pod względem języka, zwyczajów i obyczajów, jako też budowy fizycznej, mieszkającą w osadach oddzielnych, z których niemal każda stanowi samodzielną i niezależną całość — pożycie więc społeczne polega na decentralizacyi.

Najniższą jednostkę zbiorową tworzy tu „rodzina" — powiada Kubary. Wszelako „pojęcie to rodziny pelauskiej jest zgoła odrębne od wyobrażenia, jakieśmy o rodzinie wyrobili." Jakoż, jest to nie nasza, a tak nazwany przez Morgana *ród* — jednostka społeczna wspólna wszystkim ludom na niższych szczeblach rozwoju i znana w historycznym świecie Europy pod nazwą gentów, klanów lub marek. Albowiem „rodzina" pelauska, czyli — jak ją zowią wyspiarze: *blay*, zawiera w sobie jedynie potomstwo swych kobiet, i dzieci mężczyzn należą nie do blayu ojca, lecz matki. Skoro więc w blayu wymrą wszystkie kobiety, tedy choćby pozostali w nim jeszcze dzielni mężczyźni, uważa się on już za wygasły. Członkowie tegoż samego blayu znajdują się względem siebie w stosunkach takiego pokrewieństwa, że w swym obrębie nie mogą zawierać związków małżeńskich, gdyż byłoby to kazirodztwem; takich ograniczeń nie ma względem rodzeństwa lub potomstwa ojca. Obcowanie więc płciowe jest dozwolone wśród dzieci tego samego ojca, byle różnych matek, pochodzących nie z tego samego blayu—lecz surowo zabronione są związki małżeńskie między najdalszem pokoleniem sióstr, jako należącem do tego samego rodu. Mamy więc do czynienia z zupełnie odrębnymi, aniżeli w Europie, choć również ściśle określonymi stosunkami pokrewieństwa, jednakowymi w swej zasadzie dla wszystkich ludów na pewnym szczeblu rozwoju — czego atoli Kubary nie umiał wyzyskać należycie, z braku znajomości prac odnośnych.

Blaye prowadzą każdy swą genealogię od wspólnej pra-matki; zdarza się, że skoro każda z sióstr ma liczne potomstwo, blay dzieli się na dwie gałęzie, stanowiące wszakże jednostkę społeczną, wśród której obowiązuje zastrzeżenie co do niezawierania stosunków małżeńskich oraz wspólność majątku rodowego i równe uczestniczenie w godnościach rodowych. Na czele każdego rodu stoi „obokul," mężczyzna, i „udil," kobieta — najstarsi wiekiem w blayu, bez względu z której linii pochodzą; inni mężczyzni i kobiety są ponumerowani stosownie do wieku (a jeśli mają lata jednakie, stosownie do wieku swych matek): 1, 2, 3, 4... i skoro umiera obokul lub udil, godność taką dziedziczy nr 1, a następcy jego posuwają się wyżej o szczebel jeden. Również, jeśli ktokolwiek umrze w rodzie, następujące po nim numery posuwają się o stopień w hierarchii rodowej. Każdy blay posiada swą własność zbiorową, składającą się z pasa ziemi i domu rodowego—oprócz takiej nie istnieje żadna inna własność prywatna gruntów; terytoryum rodowe jest ściśle wyznaczone i troskliwie strzeżone od innych blayów. Dom rodowy zamieszkuje obokul ze swą żoną, córkami i ich mężami, synami i ich żonami, aż do zgonu; atoli u niego obozuje niemal ród cały — tu wychowują się i obradują jego chłopcy i dziewczęta; tu przebywają kobiety zamężne; tu mieszkają wdowy z potomstwem; tu wreszcie obradują mężczyzni, krzątając się dokoła gospodarstwa (dostarczając ryb i sporządzając je, przynoszą drew na opał, przygotowują wino palmowe itd.), a nocą idą spać do domów wspólnych. Tylko niektórzy z pośród mężczyzn obiadują u obokula swej żony, lub też, skoro dom rodowy okaże się zbyt ciasny, prowadzą swe własne gospodarstwo na wydzielonem przez obokula miejscu. Mienie ruchome rodu spoczywa w rękach udily, własnością zaś nieruchomą zarządza obokul, atoli pod bacznem okiem członków rodu — tylko za ich zgodą może cokolwiek odprzedać lub użyczyć komuś do czasowego użytku. Dochodzi do tego, że nawet przedmioty użytku codziennego stanowią tylko dozgonną własność posiadacza, której on nie ma prawa oddawać członkom rodu obcego; bo oto ojciec np. nie może darzyć ani swej żony, ani dzieci, co uwidocznia się też na tutejszych stosunkach małżeńskich. Mężczyzna udaje się albo do domu rodowego żony, a po jej zgonie powraca do swego blayu, lub też żona udaje się za mężem do jego rodu, wracając do swego obokula przy każdym porodzie. W takim razie, po śmierci matki dzieci opuszczają dom ojcowski i idą do rodu matki, gdzie zupełnie zapominają o swym rodzicu — czasami tylko na wyraźne jego żądanie a za zgodą blayu matki pozostają przy ojcu aż do jego śmierci. Lecz jeśli przeciwnie, uprzednio umrze ojciec, wtedy cały blay rzuca się na pozostałą po nim żonę, zabiera wszystkie podarunki zmar-

---

a służąca z lampą przyniosła gazetę, otworzył dzienniki i zaczął go czytać. Między innemi wiadomościami znalazł następującą: „Dziś odbyło się zgromadzenie demokratów, na którem odbijano zdawkowe liczmany frazeologiczne przeciwko monopolowi wódczanemu. Znaną wszakże gadaninę urozmaicił wypadek, który ogładę tych panów stawia w należytem świetle a nad którym z powodu braku czasu zastanowimy się w numerze następnym. Trzeba bowiem czytelnikom obszernie i dowodnie wyłożyć, że są między nami opryszki, którzy jednak prawdziwej odwagi obywatelskiej nie trwożą, choć jej zamykają usta."

Trinkbier nie wąpił, że napomknięto o jego zajściu i że on był przedstawicielem owej „prawdziwej odwagi obywatelskiej." Przeczytał notatkę po raz drugi i uczuł dziwne pokrzepienie na duchu. W goryczy świeżych wspomnień z tych kilku wierszy rozpływała się słodka pociecha. Bohaterski czyn będzie publicznie odznaczony a napaść ukarana. Echa zasługi wzbiją się do wysokich sfer, które nie pozostawią jej bez nagrody. Uznanie takie mieć będzie dla niego tem większą wartość, że sfery te wydały rozkaz jak najściślejszego i bezwyjątkowego usunięcia z granic państwa wszystkich polaków, zostających niegdyś w obcem poddaństwie. On zaś był przecie Trynczą...

Opromieniony tą nadzieją, uśmiechał się do lampy, wstawał, zacierał ręce, siadał, próbował odrabiać dalej referat, brał gazetę i dumał.

Z pokoju żony od czasu do czasu przybiegały ciche jęki, westchnienia i kaszle. Chwytał je uchem, rozważał i znowu snuł nić przyjemnych marzeń.

Około godziny 11 położył się do łóżka. Żona i dzieci spały. Śród ciszy nocnej piersi ich pracowały głośno i ciężko. Trinkbier wsłuchiwał się w te oddechy z uwagą i niepokojem. Brzmiały w nich świsty, chrapania, rzężenia. Powoli wyróżnił każdy z osobna i z każdego usiłował wybadać zdrowie lub chorobę.

Żona oddychała cicho, ale płytko i nierówno. Płuca jej jak gdyby nie działały całą powierzchnią, jak gdyby nie mogły otworzyć się głębiej dla przyjęcia powietrza. W pewnych odstępach czasu przyśpieszały swój ruch, który znowu potem tak wolniał, że zaledwie się zdradzał zewnętrznie. Zawieszały go westchnienia długie, niemające wszakże jednolitej ciągłości, lecz rwane i sztukowane. Nieraz nawet przecinały się w połowie i nikły.

Najstarszy Fryderyk, chłopiec krzepkiej budowy, chrapał, jak duszony. Trudno było uwierzyć, że młode gardło może wydobyć z siebie taki gruby głos, który rozlegał się w całem mieszkaniu. Chrapanie to nie trwożyło ojca, owszem, wlewało weń otuchę, że syn mocnym snem pokona chwilową słabość. Jak gdyby na poparcie dobrej wróżby, Fryderyk, któremu oddech zatkał się, wyparł przeszkodę z gwałtownym hukiem.

Gorszym Trinkbierowi wydawał się oddech młodszego Karola. Był to nieprawidłowy i z różnych tonów złożony świst, który ustawicznie zmieniał moc i brzmienie, zadzierał się, błąkał w wylocie, zaparty w gardle przelatywał nosem, wstrzymany w nosie wymykał się gardłem, a zawsze z przygłosem wysilonego tarcia. Czasem znowu już przy samem ujściu zaczepiał się o jakąś stałą tamę i wydawał dźwięk podobny do: „haaak!" Chłopiec, mając w piersiach więcej powietrza, niż go mógł przepuścić zwężony przewód, targał się na łóżku, siadał, mówił przez sen, przywoływał rodziców. Gdy go ojciec uspokoił, przez czas pewien oddychał re-

łego, i ona wraz z dziećmi powraca do swego matczynego gniazda. Samo małżeństwo jest każdej chwili rozerwalne; trafia się też wielożeństwo, lecz rzadko i jest jedynie oznaką rangi, gdyż zwyczaj wymaga tego od obokulów.

Około dwudziestu blayów stanowi wyższą jednostkę społeczną: *osadę-gminę*, której zarząd spoczywa w ręku ogółu obokulów i kobiet najstarszych w rodzie. Blaye są również ponumerowane 1, 2, 3..., i najstarsi przedstawiciele nr 1 zajmują też pierwsze miejsce w radzie męskiej i żeńskiej całej gminy, stanowisko zaś przedstawicieli pozostałych blayów określa się ich numerem porządkowym. Skutkiem tego w ugrupowaniu naczelników (pamiętajmy, jacy to są naczelnicy) panuje ścisła określoność stosunków wzajemnych i niewzruszony porządek, wśród którego każdy świadom jest swego stanowiska i wynikających stąd obowiązków i trybu zachowania się. O podziale ludności na klasy i stany nie ma mowy, gdyż każdy członek rodu, skoro dożyje swej kolei, może piastować godność obokula, a chociaż blaye niektóre przodują wśród gminy, przecież w swych prawach i obowiązkach są zrównane z ostatnimi. Ustrój społeczny gminy pelauskiej opiera się na federacyi i wieku, a „nadawanie naczelnikom tytułu królewskiego lub książęcego posiada tylko wartość subjektywną.“ Rada obokulów baczy jedynie, by starodawnym zwyczajom stało się zadość, co zgoła jeszcze nie wyzwala ich samych od odpowiedzialności za przekroczenia. Mało też ma ona do czynienia, w sprawach codziennych rzadko się do niej odwołują, gdyż znajomość zwyczajów głęboko zasiadła wśród ludu, i wszystkie sprawy załatwiają się prywatnie, zgodnie z prawem zwyczajowem — bez odwoływania się do naczelników. Złowi ktoś złodzieja, wymierza sam karę zwyczajową, a przestępca poddaje się bez szemrania wyrokowi, w wydaniu którego poniekąd nawet uczestniczy. Rada więc zajmuje się sprawami gminy na zewnątrz lub dotyczącemi wszystkich — członkowie utrzymują w porządku groble, domy gminne i drogi publiczne pierwszego rzędu, co więcej — sami ją muszą oczyszczać od zielska. Oznak dostojeństwa żadnych nie posiadają, a zachowanie się wzajemne zawisło od numeru porządkowego, atoli od gminu męskiego odbierają wszyscy jednaki szacunek, kobiety zaś są wolne od składania jakichkolwiek dowodów czci. Obok rady męskiej istnieje analogiczna rada z kobiet, dozorująca sprawowanie się gminu kobiecego; wywiera ona wpływ potężny na sprawy wszystkie, tembardziej, że w ręku jej członków spoczywają skarbce poszczególnych rodów.

Każda gmina posiada publiczne miejsce wybrukowane, na którym wznosi się dom radny naczelników oraz domów kilka dla gości. Podejmowani oni są kosztem gminy całej; tak samo też pokrywają się wydatki na uroczystości gminne. Lecz wśród gminy pelauskiej nie spotkasz żadnych podatków — każdy obokul zmuszony jest łożyć z majątku swego rodu stosownie do zajmowanego miejsca w hierarchii porządkowej blayów. Wprawdzie odpowiednio do tego pobiera on swą część z dochodów publicznych.

Istotną część składową każdej gminy tworzą tak zwane *kaldebekele*. Jak wiemy, oddzielne gospodarstwa w blayu prowadzi jedynie obokul, rzadko zaś inni mężczyzni; w domostwie rodowem, gdzie on mieszka, ześrodkowuje się całe życie rodu. Tu wychowuje się dziatwa, tu mieszkają dziewczęta, póki nie pójdą za mężem swym do blayu obcego, lubo jeszcze częściej pozostają one w blayu matczynym i po zamąż pójściu; dotąd wracają wdowy z dziećmi, tu również pracują i obiadują mężczyzni rodu, o ile nie bawią na obczyznie, w blayach żony swojej. Cała ta masa ludu w gminie, krom obokulów i najstarszych kobiet, oraz dziatwy drobnej, dzieli się na partye — męskie i żeńskie. W każdej partyi, kaldebekelu, znajduje się równa ilość przedstawicieli każdego blayu, a członkowie kaldebekelu są uszeregowani według porządku blayów osady. Tak samo i kaldebekele gminy oddzielnej są oznaczone liczbami porządkowemi stosownie do wieku swych członków. W miarę podrastania dziatwy w gminie, nowe kaldebekele się tworzą i stosownie do wymierania wyższych posuwają się w hierarchii. Na czele każdej partyi znajduje się najstarszy przedstawiciel z pośród członków, pochodzących z blayu nr 1; w razie wybycia członka z jednego kaldebekelu miejsce jego zajmuje następujący po nim mężczyzna w rodzie — następuje tedy odpowiednia sprawa przesuwania się członków tego blayu przez różne kaldebekele. Mimo że każdy ród posiada swych członków w różnych kaldebekelach, są one od siebie zupełnie niezależne, i między nimi panuje bezustanna rywalizacya. Męskie kaldebekele posiadają każdy swe własne domostwo: *bay*, w którem zbierają się członkowie dniem dla narad i zabaw, a śpią w nocy, swą łódź wojenną oraz drzewa owocowe, rosnące obok bayu i przez członków kaldebekelu posadzone, czasami kilka świń, kóz i psów. Kaldebekel broni kraju, wypełnia rozporządzenia rady gminnej, pracuje dokoła robót publicznych; karność panuje surowa — nikt nie może spędzić nocy po za bayem, gdyż w takim razie płaci karę, idącą do rąk wodza kaldebekelu, który ją zatrzymuje u siebie i dopiero gdy grzywny takie uczynią znaczną kwotę, dzieli wśród całej partyi, stosownie do stanowiska hierarchicznego członków. U siebie, kaldebekel sam wymierza sprawiedliwość według „zwyczajów;“ wobec gminy zachowuje się jako jednostka, która w całości swej podlega karze, lecz która też w innych razach żądać może od gminy zadośćuczynienia. Za dnia członkowie bayu krzątają się dokoła gospodarstwa rodów swych, w budynku pusto, maty są złożone; dopiero nocą bay się ożywia, ogniska goreją, na rozesłanych matach leżą towarzysze. Na czele każdej takiej partyi stoi przedstawiciel blayu nr 1, lecz gmin kaldebekelu może go zawsze usunąć, co jednak rzadko się zdarza, albowiem i sam kaldebekel wtedy zgodnie z prawem zwyczajowem musiałby się rozpaść.

Z instytucyą kaldebekelów ściśle są związane dwie inne niemniej charakterystyczne: armengolów i blolokolów. Nim jednak skreślimy ich istotę, winniśmy zatrzymać się nieco nad stosunkiem kobiety do mężczyzny.

Wówczas gdy chłopiec zaledwie wyrośnie, udaje się już do bayu, dziewczę wychowuje się w domostwie rodowem. Skoro dojrzeje, oddaje się pod przewodnictwem matki najstarszemu obokulowi w gminie, potem następnemu itd. za pewnem wynagrodzeniem idącem do skarbca rodu, dzięki któremu to obyczajowi „obie płcie każdej gminy, oczywiście nie w obrębie rodu własnego, znają się wzajemnie.“ Po tych pierwszych występach dziewczyna znajduje męża, lub skoro chce użyć jeszcze lat młodych, wędruje do *armengolu*, t. j. znajdujących się przy bayu każdym drużyn niewieścich. Drużyny takie dzielą wszystkie rozrywki i zabawy kaldebekelu i są koniecznem następstwem istnienia drużyn męskich. Stanowią one źrenicę w oku tych ostatnich. Dziewczyna udaje się do jakiegobądź armengolu po za osadą rodzimą — a jest tu panią swych postępków i wyboru; po 3 miesiącach otrzymuje wynagrodzenie i wraca do domu wraz z ojcem, który po nią przybył, lub jeśli zechce, pozostaje dłużej, często aż do zamążpójścia. Zdarza się, że nawet kobiety zamężne porzucają mężów i zamieszkują z powrotem w armengolu. Instytucyę tę drużyn kobiecych pelauszczycy uważają za szkołę życio-

---

gularniej i swobodniej, ale wkrótce znów rozpoczynał suchą, świszczącą i skrzeczącą muzykę, która brzmiała złowrogo.

Trzeci z kolei August przyjmował w tym koncercie odmienny udział. Jego oddech, przechodząc przez śluz, obficie wyścielający gardło, wywoływał w niem ciągłe klekotanie.

— Odkaszlnij — wołał ojciec.

Chłopiec próbował ulżyć sobie, ale zakrztusiwszy się tylko, rozpoczynał znowu klekotać gardłem. Nieraz udało mu się połknąć flegmę, wtedy oddychał czysto, ale trwało to niedługo.

Tylko dwoje najmłodszych dzieci nie zdradzało choroby. Trinkbier słyszał ich oddechy równe, swobodne, głębokie, które jego uwadze pozwalały z zadowoleniem odpocząć po dręczącem wsłuchiwaniu się w inne.

Daremnie usiłował zasnąć. Już znużenie kleiło mu powieki, gdy znowu chrapliwy kaszel lub ostre rzężenia spłoszyły senność. Wstał, zapalił świecę i obejrzał dzieci: wyglądały zdrowo, czerwono, a nawet oddychały cicho, bez tych skrzypień, świstów i chrypień, które przedtem tak grały. Wy-wszystko zniknęło wszystko, ale to tylko cisza nocy potęguje głosy, i położył się do łóżka.

Wprawdzie przykry chór oddechów zabrzmiał z poprzednią mocą, ale Trinkbier słuchał go obojętniej i zaczął rozpamiętywać wypadki dnia ubiegłego: rozmowę z prezydentem, uporczywe gwizdanie jednego towarzysza, perswazye drugiego, protest w zgromadzeniu demokratycznem i napaść brutalów, wreszcie artykulik gazety i nakaz rządowy co do usunięcia obcych żywiołów. Chociaż w szeregu tych obrazów przesuwały się i ciemne, więcej widział jasnych, i podsumowawszy dodatnią stronę swojego życia, otrzymał pewność zupełnego bezpieczeństwa. Na dworze listopadowa szaruga dmuchała wyjącymi wiatrami i pluskała deszczem; Trinkbier, myśląc o tułaczach, którzy będą musieli śród chłodu i wilgoci opuszczać swoje siedziby, i porównywając z ich niedolą swój los, osłaniający go od burz i wygnania, w ciepłem łóżku doznawał wszystkich rozkosznych wrażeń tej różnicy. Służba bywa nieraz cierpką, obowiązki ciężkie, kłopoty dotkliwe, ale taczkę można pchać i nawet powieźć na niej słodki owoc życia. Tymczasem gdyby wicher zburzył gniazdo, gdyby potrzeba było z choremi dziećmi o biedzie pójść na tułaczkę bez drogi i celu... Trinkbier aż się zatrząsł na to przypuszczenie. Wkrótce jednak uśmiechem odpędził marę i zasnął.

Spał tak twardo, że rano ledwie go żona obudziła:

— Lorenz, Lorenz!

— Czego chcesz Ludwiko?

— Dzieci bardzo chore, nieprzytomne.

Zerwał się i usiadł na łóżku.

— Policyant — rzekła żona — przyniósł ten papier.

Trinkbier rozdarł kopertę i ledwie spojrzał, jęknął i upuścił papier, który żona podjęła i przeczytała: „Wawrzyniec Tryncza z przydomkiem Lorenz Trinkbier, poddany rosyjski bez paszportu, ma opuścić Prusy w ciągu dni ośmiu.“

Patrzyli na siebie w osłupieniu: on oddychał powoli, ona szybko, dzieci im wtórowały różnymi głosami.

Były to oddechy boleści.

W. Okoński.

K O N I E C.

wą dla kobiet, w której zapoznać się można z obyczajami i zwyczajami kraju. Rzadko też jakakolwiek kobieta jej nie przechodzi. Armengol utrzymuje bay w czystości i porządku, towarzyszy kaldebekelowi w jego zajęciach i wycieczkach krom wojny, a pokarm otrzymuje od obokulów osady, w której bawi — fakt, dostatecznie pokazujący znaczenie publiczno-społeczne świt niewieścich. Prócz kobiet wolnych w armengolach znajdują się jeszcze takie, ktore pewnemu kaldebekelowi obowiązaną jest dostarczać taka to gmina — stanowią one rodzaj haraczu i pozostają w bayu przez życie całe. Warto jeszcze słów kilka rzec o *blolokolu*; jest to zwyczaj, że grono dziewcząt i kobiet, stanowiące odrębny kaldebekel żeński, udaje się pospołu na armengol zbiorowy do gmin przyjacielskich, gdzie przebywa czas dłuższy, gościnnie podejmowane i hojnie darzone jako mile witani goście.

(D. n.).

PSYCHOLOGIA ZWIERZĄT.

I.

Nauka ta jest tak dalece młodą, iż nie wszyscy badacze zgodzili się dotąd na przyznanie jej praw obywatelstwa. Są nawet tacy, którzy wprost istnienia jej nie uznają. Ojczyzną psychologii zwierząt jest bez zaprzeczenia Anglia: tam — pod działaniem ożywczej myśli Darwina — najszerzej i najgłębiej zakorzeniły się zdrowe na nią poglądy, tam — dzięki pracom tegoż badacza — ukazały się pierwsze, na podstawie metod naukowych dokonane, poszukiwania; w Anglii też najusilniej i najskuteczniej starano się o nadanie naukowego kierunku spostrzeżeniom profanów, w Anglii nakoniec, obok różnych teoryj „zmyślności,“ inteligencyi, albo „instynktu“ zwierząt, najpierwej pojawiły się wycieczki przeciwko tworzeniu tej nowej gałęzi wiedzy — jako zgoła niemożliwej. Czy będziemy mówili o szczegółowem opracowaniu jakiejś jednej dziedziny duchowego życia zwierząt (prace Darwina), czy zwrócimy uwagę na surowy materyał badań psychologicznych (dzieła Lubock'a), czy posłuchać zechcemy ogólnych teoryj umysłowości zwierząt i poglądów na ich psychologię (Romanes, Calderwood, Llyod Morgan) zawsze i wszędzie spotkamy się z nazwiskiem anglika. Francuzi — w świetnych, choć niezawsze dość ścisłych wywodach zużytkowują ogólne zdobycze dla wytłomaczenia poszczególnych faktów i zjawisk (Espinas, Meunier); niemcom zaś — jak to zwykle bywa — przypadła tutaj w udziale rola rozjemców w sporach i zatargach naukowych. Sama przez się myśl niemiecka zbyt jest tchórzliwą, zanadto ociężałą, zanadto wreszcie systematyczną, aby się odważyła na stworzenie czegoś całkiem nowego, czegoś takiego, coby się nie zawarło, jak w futerale — w granicach już istniejących faktów lub poglądów metafizycznych, coby w niemieckiej *Kultur Geschichte* zbyt jaskrawo mogło odbijać. Mędrzec niemiecki nie chce się „zaawanturować,“ stwarzając nową naukę. Przytoczony przez Wundta Chrystyan Wolff, niezbyt dawno jeszcze oznajmiał światu, iż „rozbiór zagadnienia, czy zwierzęta posiadają duszę lub jej nie posiadają, nie ma w sobie żadnego szczególnego pożytku i że przeto wielką głupotą byłoby wiele sił na jego rozstrzygnięcie poświęcać.“ Potrzeba też było kilkudziesięciu lat pracy Darwinów i Lamarque'ów na to, aby duchowi spadkobiercy Wolffa zrozumieli, jaką wagę może mieć psychologia zwierząt. Ale przymioty, osłabiające twórczość myśli niemieckiej, wpływają właśnie na jej zdolność systematyzowania i oceny krytycznej. Ten, ktoby się nie umiał zdobyć na własny swój sąd w jakiejś sprawie naukowej, zrobi najlepiej, gdy posłucha głosu uczonego niemca. W zakresie psychologii do najbardziej poważanych z pomiędzy owych głosów niemieckich należy bez zaprzeczenia głos Wundta. Artykuł jego p. t., *Thierpsychologie* — jeden z szeregu jego *Essays*, obecnie wydanych — dostarczy też nam wątku do obecnej pracy; przed wyłożeniem wszakże zawartych tam poglądów musimy jeszcze powiedzieć słów kilka.

Nietrudno pojąć, dlaczego teorya Darwina natchnęła uczonych nadzieją poznania duchowości zwierząt i badania ich w odpowiednim poprowadziła kierunku. Szerokie zastosowanie metody porównawczej w biologii, stopniowe przechodzenie w niej od zjawisk prostych do bardziej złożonych nie mogło nie podać uczonym tej myśli, że i w zakresie psychologii taki sposób postępowania okazać się może skutecznym. Darwin pierwszy dał innym przykład, jak należy prowadzić badania. Zamiast mglistych i metafizyką przesiąkniętych *ogólnych* teoryj umysłowości zwierząt zbadał on w swojej książce—znanej też polskim czytelnikom — jedną tylko dziedzinę objawów duchowego życia zwierząt (wyraz uczuć). Wobec tak pomyślnych wyników badań jak samego Darwina, tak i jego następców, wobec ustalonej tych badań metody, dziwnem się wyda, że mogli się znaleść uczeni, nie uznający zgoła psychologii zwierząt, jako nauki — a jednak znaleźli się tacy — i to w samej Anglii.

Jednym z najgorliwszych obrońców nowej gałęzi wiedzy jest Jerzy Romanes*). Prace jego o inteligencyi zwierząt zapewniły mu szerokie uznanie w świecie uczonym, ale one też zjednały przeciwników. Przed paroma laty, w czasopiśmie angielskiem *Nature* Llyod Morgan poddał surowej krytyce poglądy Romanesa, stanowczo oświadczając się przeciwko możności wytworzenia kiedykolwiek przez uczonych nauki takiej, jak psychologia zwierząt. Spór, jaki wtedy wyniknął, pozostał nierozstrzygniętym. Niedawno wszakże w tem samem czasopiśmie spotkaliśmy się znowu z tem samem zagadnieniem. Oceniając świeżo wydaną książkę Morgana (Springs of conduct), Romanes zaznacza z zadowoleniem, iż poglądy tego autora na psychologię zwierząt uległy pocieszającej zmianie. Ktokolwiek jednak przeczyta dziełko Morgana, ten przekona się, iż krytyk jego uległ optymistycznemu złudzeniu. Morgan, jak dawniej, tak i teraz nie uznaje psychologii zwierząt i nie wierzy w możliwość jej istnienia. Wobec takiej stanowczości dwóch różnych zdań, musimy rozpatrzeć się w ich podstawach — tem bardziej, iż w pracy Wundta bezpośredniego rozstrzygnięcia podobnych sporów nie znajdujemy.

Dla jakich też powodów Morgan i inni uczeni nie chcą uznać psychologii zwierząt? Co do Morgana przynajmniej — to pogląd jego jest wynikiem jego teoryi poznawania. Oprócz *podmiotu* (subjekt) i *przedmiotu* (objekt) badania, odróżnia on jeszcze t. zw. przez siebie *ejekt* (przez analogię do pierwszych dwóch *wymiot*). Umysłowość naszych bliźnich nie jest oczywiście *podmiotem* naszego ducha, gdyż nie uświadamiamy jej sobie bezpośrednio, ale nie jest też ona *przedmiotem*, gdyż pojęcie o niej nie zawiera w sobie tej przeciwstawności nam samym, jaką widzimy w rzeczach martwych; natomiast umysłowość ta może być nazwaną *ejektem*, tj. czemś takiem, co powstało z wyrzucenia i przeniesienia na innych naszej własnej istoty duchowej. Widocznem jest — wnioskuje Morgan — iż taką tylko duchowość poznawać możemy, która jest *ejektem* naszej własnej; że więc umysłowość zwierząt musi dla nas na zawsze pozostać tajemnicą.

*) Szczegółowe przedstawienie jego teoryi podaliśmy w n-rze 14, 24 i n. *Prawdy* z r. 1884.

Gdybyśmy się nawet zgodzili z Morganem na to, iż umysłowość naszych bliźnich jest czemś pośredniem pomiędzy podmiotem i przedmiotem naszych badań, to i wówczas jeszcze nie należałoby zwątpić co do możliwości wytworzenia takiej nauki, jak psychologia zwierząt. Łatwo zrozumieć, że żaden z nas nietylko o istocie świadomości psa lub konia, ale i o istocie świadomości swego sąsiada nie może mieć wyobrażenia tak dokładnego, jak o istocie swojej własnej świadomości. Pomimo to jednak kusimy się o stworzenie ogólnej psychologii człowieka, odważamy się na poszukiwania w ciemnej i mało dostępnej dla nas dziedzinie świadomości niemowląt, waryatów, ludzi pierwotnych, dalej osób pozbawionych jednego albo kilku zmysłów, jak głuchoniemi, ociemniali itp. Psycholog, któryby w mózgu swoim starał się odtworzyć jeden ze stanów świadomości konia, trudziłby się napróżno, ale taki, coby z zewnętrznych objawów tejże świadomości pragnął powziąć jakieś wyobrażenie o jej naturze, a przynajmniej o niektórych jej cechach, w niczem nie obrażałby oni wymagań nauki, ani zdrowego rozsądku. Poznanie istoty rzeczy we wszystkich gałęziach wiedzy ludzkiej jest dla nas niedostępnem, ale nie ono też stanowi treść i zadanie nauk. Nie wiedząc, jaką jest istota elektryczności, światła itp., człowiek uprawia fizykę; nie znając tajemnicy powinowactwa chemicznego — rozwija chemię. W podobny też sposób, nie rozumiejąc najgłębszej treści duchowego życia zwierząt, psychologia porównawcza będzie mogła jednak uporządkować i objaśnić niektóre jego zjawiska i przepowiadać rozmaite ich zmiany.

(D. n.).

J. K. Potocki.

STATYSTYKA.

Paryż, 18 czerwca.

Stowarzyszenie statystyczne paryskie, jego prace i jubileusz. — Rocznik statystyczny za r. 1885 i tym podobne wydawnictwa.

Czytelnikom *Prawdy* dłużny jestem nieco szczegółów z dziedziny umiejętności statystycznej we Francyi. Od roku 1860 istnieje w Paryżu stowarzyszenie pod nazwą *Société de Statistique de Paris*, które w roku zeszłym obchodziło 25-letnią rocznicę swego założenia.

Głównym założycielem tej instytucyi był lekarz z zawodu, znany przytem z licznych prac statystycznych, Villermé, zmarły r. 1863 w 81 roku życia. Prezydowali następnie: Michał Chevalier, Hipolit Passy, Wołowski, L. de Lavergne, Levasseur, Bertillon i inni. Od swego powstania wydaje Towarzystwo miesięcznik pod tyt.: *Journal de la Société de Statistique de Paris* i odbywa narady, na których rozbierają się ważniejsze zagadnienia z zakresu nauki i praktyki.

Prace jego nie pozostały bez wpływu na organizacyę statystyki urzędowej; prócz tego ogłasza ono od r. 1883 konkursy, od roku zaś 1882 urządza corocznie szereg odczytów publicznych. Zbyt zasobnem nie jest. Wydatki jego w roku 1885 wynosiły 20 900 fr.; dochody, w których mieszczą się różne zapomogi od władz publicznych, dosięgły cyfry 21,175 fr. Organ stowarzyszenia wychodzi niewielkimi zeszytami, tworzącymi po upływie roku jeden zaledwie tom niezbyt znacznej objętości.

W roku ubiegłym zajmowało się ono przedewszystkiem kwestyami, będącemi na

porządku dziennym, a więc: przesileniem rolnem, sprawami kolonialnemi, obiegiem monety itp. Sprawy rolnictwa wypełniły wiele jego posiedzeń. W toku tych rozpraw dr Broch, b. minister marynarki norwegskiej, przedstawił ciekawe tablice, dotyczące cen zboża od r. 1601, uprawnych obszarów, ilości inwentarza itd. Prof. Levasseur okazał interesujące tablice graficzne o zbiorach i cenach zboża od r. 1815. Mówiono również szczegółowo o niedawno wydanem dziele de Foville'a, *Le Morcellement*, o rozdrobnieniu własności ziemskiej we Francyi. W zakresie spraw kolonialnych Cerisier złożył memoryał o koloniach francuskich, Loua zaś streścił pracę Rawsona, prezesa stowarzyszenia statystycznego londyńskiego w tymże przedmiocie. Polemizowano przytem z ruchliwym publicystą francuskim, p. Yves Guot, który słowem i piórem walczył przeciwko posiadaniu kolonij wogóle. W sprawach pieniężnych przemawiali: de Foville i Monteaux, przedstawiwszy odnośne memoryały. Zajmowano się także zastosowaniem systemu dziesiętnego do podziału czasu (doba w tym systemie miałaby tylko 20 godzin) i t. d.

Komunikowali przytem prace swe towarzystwu następujący pisarze: zmarły świeżo L. Simonin *Les percées des Alpes*, Fournier de Flaix *L'accroissement de la richesse publique depuis 1789*, Levasseur *L'organisation de la statistique officielle en France*. Raffalowich *Les salaires et les gains de la classe ouvrière en Angleterre*. i Loua *Les deplacements de la population française*.

Towarzystwo powiększyło się w roku ubiegłym o trzech tylko nowych członków z pomiędzy francuzów: Raffalowich'a, Thierry Mieg i Fongerousse. Przyjęto natomiast na członków wielu cudzoziemców. Wymieniamy następujących: don Pedro cesarz brazylijski, Nagayo Jensay dyrektor centalnego biura sanitarnego w Japonii, wzmiankowany już Rawson, Von Juama prezydent Centralnego stowarzyszenia statystycznego wiedeńskiego, generał Francis Walker prezydent stowarzyszenia stat. w Stanach Zjednoczonych.

Co do konkursów, to wyznaczony za r. 1883 o znalezieniu najlepszego systemu dla oznaczenia cyfr średnich spełzł bez rezultatu. W r. 1885 nagrodzono połową wyznaczonej kwoty jedyną pracę Rouilleta, nadesłaną z zakresu statystyki zawodowej we Francyi.

Na obchód swój jubileuszowy, który odbył się w dniach 15—20 czerwca r. z., Stowarzyszenie zaprosiło wielu gości zagranicznych. Niemcy, Szwecya i Finlandya nie wysłały delegatów, tylko odpowiednie memoryały i prace. Delegaci rosyjscy nie przybyli, podobno wskutek nieporozumienia. Na zjeździe tym wyrażono życzenie dokładnego zapoznania się z organizacyą statystyki w różnych krajach. Odnośną pracę co do Francyi przedstawił Levasseur; zagraniczni przedstawili lub nadesłali swe roboty. Na posiedzeniach czytano wiele rzeczy interesujących: Beaujon, dyrektor instytutu statystycznego w Holandyi, wykładał o statystyku holenderskim Kerseboom'ie, Fassiaux gen. dyrektor dróg żelaznych belgijskich przedstawił projekt unii kolejowej na wzór związku pocztowego, Bodio—o bankach ludowych we Włoszech, de Malarcé — o ubezpieczeniach na życie w Europie w ciągu ostatnich lat 25. Kiaer, przewodniczący centralnego biura statystycznego w Norwegii — o wpływie wieku małżonków na potomstwo itd.

Na obchodzie tym wyznaczono również konkurs statystyczny międzynarodowy. Rada stowarzyszenia przy udziale czternastu delegatów zagranicznych wybrała 2-ch sprawozdawców: Neumanna Spallarta z Austryi i Toussaint Loua, sekretarza Towarzystwa, którzy tak określili życzenia zjazdu w tym przedmiocie. Wyznaczono trzy tematy: finansy miejscowe, bogactwo i dochody publiczne, oraz wpływ cen na spożycie. Konkurs jest międzynarodowy. Nadesłane prace pisane być mogą w językach: francuskim, angielskim, niemieckim i włoskim. Nagroda 2,500 franków. Termin nadesłania pod adresem Stowarzyszenia statystycznego w Paryżu 31 grudnia 1887. Nagroda ogłoszoną będzie na grudniowem posiedzeniu towarzystwa w r. 1888. Prace oceniać będzie wybrany ku temu komitet międzynarodowy.

Nadmienić jeszcze wypada, że prezesem Towarzystwa jest p. Leon Say, sekretarzem Toussaint Loua. Panuje w niem, jak we wszystkich ekonomiczno-statystycznofinansowych towarzystwach francuskich, kierunek dogmatyczno - wolnohandlowy. Wszelkie odstępstwa od zasad szkoły manczesterskiej uważane są za herezye.

To, cośmy powiedzieli, da zawsze wyobrażenie o działalności naukowej we Francyi na polu statystyki. Wychodzi tu przytem wiele wydawnictw urzędowych, dają one jednak surowy tylko materyał. Generalne biuro statystyczne przy ministerstwie handlu, którego naczelnikiem jest p. Loua, wydaje od r. 1878 rocznik p. tyt.: *Annuaire statistique de la France*, gdzie cały materyał urzędowy zebrany jest w jedną całość. Każde zresztą ministerstwo wydaje odnośne buletyny i roczniki.

Specyalnej szkoły statystycznej, na wzór innych krajów, Francya nie posiada. Statystykę w „Collége de France" wykłada Levasseur, w szkole górniczej Cheysson, w konserwatoryum sztuk i rzemiosł de Foville; prócz tego w szkole antropologicznej miewa wykłady demograficzno-statystyczne prof. Bertillon.

Na tem kończę tę informacyjną notatkę.

P.

WYNALAZKI.

Pozyskanie nizkich temperatur przy przechodzeniu w stan stały tlenu, azotu i tlenku węgla. — Tajemnica profesora Comi'ego ujawniona. — Gips stwardniały. — Sztuczny kauczuk. — Zastosowanie fotografii do drukowania dzienników. — Nowe tryumfy chemii. — Ozdabianie wyrobów metalowych.

I.

Metoda Olszewskiego skraplania gazów tlenu, wodoru i tlenku węgla posłużyła mu do pozyskania bardzo niskich stopni temperatury. Zdołał on obniżyć ciśnienie, pod jakiem ulatnia się gaz skroplony, do 4 milimetrów rtęci i otrzymać tą drogą 12 do 15 centymetrów sześciennych tlenu, tlenku i węgla, lub azotu w stanie płynnym. Pod ciśnieniem jednej atmosfery Olszewski pozyskiwał 5 do 6 centymetrów sześciennych tych płynów, a 2 do 3 centymetrów sześciennych w próżni 10 milimetrowej w ciągu kilku minut.

Temperatura azotu, parującego w próżni, dochodziła 212 stopni Cels. niżej zera; przy obniżeniu ciśnienia do 60 milimetrów rtęci, azot płynny zaczyna przechodzić w stan stały i przedstawia się wówczas w postaci warstwy ciemnej, nieprzezroczystej na powierzchni, przyczem temperatura spada do 214 stopni. Zmniejszając ciśnienie poniżej 60 milimetrów rtęci, dostrzegamy całkowite przejście w stan stały azotu, który wówczas przedstawia masę śnieżystą, przy rozrzedzeniu powietrza do 4 milimetrów rtęci, temperatura obniża się do 225 stopni niżej zera i jest to najniższy jej stopień, jaki dotąd zdolano pozyskać.

Czysty gaz tlenku węgla otrzymuje się zapomocą mieszaniny kwasu mrówczanego z siarczanym. Gdy ciśnienie zredukowanem zostanie do 100 milimetrów rtęci, płynny tlenek węgla zaczyna przechodzić w stan stały; temperatura wówczas wynosi 207 stopni; spadając zaś do 211 stopni niżej zera, wywiera ten skutek, że tlenek węgla w całości przetwarza się na masę stałą w postaci bryły śnieżystej. Przy ciśnieniu 4 milimetrów rtęci, ciepłomierz wskazuje 220,5 stopni.

Tlen pod ciśnieniem 4 milimetów rtęci, przy temperaturze 211,6 stopni niżej zera, utrzymuje się w stanie płynnym, a tem samem stanowi jedno z najdzielniejszych ciał oziębiających.

Od lat przeszło pięćdziesięciu profesor Angela Comi w Rzymie zachowywał w tajemnicy sposób konserwowania preparatów anatomicznych i skamieniania zwłok ludzkich, jaki wykrył po wielu mozolnych i cierpliwych poszukiwaniach. Obecnie ujawnił swą tajemnicę z pewną uroczystością, w wielkim amfiteatrze wszechnicy w Perugii, wobec władz prowincyonalnych i gminnych, powag lekarskich i wszystkich członków Kongresu lekarskiego włoskiego. Znakomity profesor przedstawiał im całą seryę przepysznych preparatów anatomicznych, skamieniałych, jak skała.

„Jestem już stary — rzekł — i nie chcę być posądzanym o zachowywanie tajemnicy dla mego wyłącznego użytku. Przed zstąpieniem do grobu, pragnę, aby nauka poznała mój sposób konserwowania zwłok, a moi koledzy mogli przyczynić się do jego udoskonalenia."

Corriere dell' Umbria podaje szczegóły sposobu Comi'ego skamieniania ciał organicznych. Materye, używane są: olej lniany wygotowany, przyskany ze znanej wszystkim dobrze rośliny: lnu zwyczajnego (Linum-usitatissimum) i drugi chlorek rtęci, roztarty w moździerzu z olejem lnianym na ciasto miękkie, ciągłe. W to ciasto oleiste zanurzają się członki zwierząt, które chcemy zakonserwować i nadać im twardość kamienną. Maceracya taka trwa przez kilka miesięcy, odpowiednio do objętości ciała, jakie ma być nasyconem. Gdy skamienienie jest dostateczne, zmywa się ciało jak najstaranniej i wystawia na powietrze, dokonywające zupełnego osuszenia; poczem naciera się je i gładzi agatem, jak w złotnictwie przy polerowaniu drzewa i metali. Działania te wymagają wielkiej wprawy i pewnej zręczności mechanicznej. Jeżeli ciała, przeznaczone do konserwacyi, mają jamy, wklęsłości te powinny być poprzednio zapełnione mieszaniną złożoną z równych części cementu miałko sproszkowanego i drugiego chlorku rtęci. Gdy chcemy, aby nieboszczyk miał oczy otwarte, potrzeba przed zamoczeniem zwłok jego w cieście umieścić pod powiekami oczy sztuczne z emalii weneckiej.

Włosi chlubią się wielce z wynalazku Comi'ego; preparaty też jego okazywali prawie na wszystkich wystawach europejskich.

Rozpowszechnić użytkowanie z gipsu zamierzył znany technolog Julhe; doświadczenia, przez niego odbywane, uwieńczone zostały najzupełniejszem powodzeniem, gdyż nadał on gipsowi taką twardość, że może nim z korzyścią zastąpić drzewo nawet w posadzkach.

Ze wszystkich materyałów, używanych w budownictwie, gips jest jedynem ciałem, powiększającem swą objętość, gdy tymczasem wszystkie inne, jak wapno z piaskiem pomięszane i cementy, a nawet drzewo kurczą się i pękają wskutek wysychania. Gips zatem zużytkowany w warstwach dość grubych, aby nie rozpadał się, przedstawia powierzchnię, której nie zmienia czas, ani wpływy atmosferyczne, jeżeli jest zabezpieczoną od przystępu wody. Potrzeba tylko mu nadać dwie własności, których nie posiada: twardość i oporność.

Julhe tworzy jednostajną mięszaninę z 6 części gipsu w najlepszym gatunku z 1 częścią wapna tłustego, świeżo zgaszonego, starannie przesianego i używa tej mięsza-

niny, zastępującej doskonale gips zwykły, do wszelakiego rodzaju wyrobów. Po zmięszaniu i wysuszeniu masy, nasyca się przedmiot z niej wyrobiony roztworem jakiegokolwiek siarczanu z zasadą strącalną przez wapna i z osadem nierozpuszczalnym. Siarczan żelaza i siarczan cynku są w tej mierze solami najodpowiedniejszemi. Z siarczanem cynku przedmiot pozostaje białym, z siarczanem zaś żelaza zrazu zielonawy, następnie powolnie z biegiem czasu i wskutek wysychania przyjmuje barwę półtoratlenku żelaza. Najtwardsze powierzchnie pozyskuje się z żelazem. Dla otrzymania maksymalnej twardości i oporności, potrzeba dobrze rozczynić gips, skropić go wodą wapienną, lecz w czasie możliwie jak najkrótszym i z tą uwagą, aby ilość tej wody była niewiększą nad potrzebę. Wiele zależy na tem, aby przedmiot, mający stwardnieć, był dobrze wyschłym, a to dla ułatwienia roztworowi dostania się wewnątrz masy gipsowej. Roztwór powinien być bliskim stopnia nasycenia, a pierwsze w nim zanurzenie nie powinno trwać dłużej nad 2 godziny.

Gips stwardnieje, jak tylko nań roztwór działać zaczyna, i to w tym stopniu, że nie można zrysować go paznokciem. Jeżeli pierwsze zanurzenie trwało zbyt długo, gips staje się kruchym, lecz gdy wyschnie dobrze po pierwszem zanurzeniu, nie lęka się już wpływu wody.

Stosunki wapna i gipsu nie są stałe; można je zmieniać rozmaicie, odpowiednio do przeznaczenia wyrobu, niemniej wszakże stosunek 1 do 6 daje najlepsze rezultaty. Wiele zależy zresztą na tem, aby nie osłabiać powierzchni gipsu, przeprowadzając po niej zbyt długo kielnią.

Powierzchnia przyjmuje z siarczanem żelaza wygląd rdzawy, gdy jednak przeprowadzimy po niej olej lniany, pomięszany z glejtą*), brunatnieje, przyjmując piękny połysk mahoniu, który można podnieść, dodając do wspomnianego oleju werniksu kopalowego twardego.

Rozprowadzając na podłodze pokojowej, na grubość 6 do 7 centymetrów (około $2\frac{1}{2}$ do 3 cali pols.), warstwę gipsu skropionego wodą wapienną, otrzymujemy zapomocą wyżej wskazanego procesu posadzkę spójną i gładką, jak szkło.

Ze względu na prostotę i taniość metody Julhe'a, pożądanem byłoby, aby pozyskała szersze rozpowszechnienie. Siarczan cynku, dziś prawie nieużyteczny, miałby zapewnioną wielce korzystną drogę zbytu, gdyż cynk w postaci osadu, otrzymywany z tej soli wraz z kwasem siarczanym, mógłby posługiwać do urządzenia ekonomicznych stosów Wolty, wytwarzających siłę, dającą się zastosować w małych motorach.

Pp. Hang i Hoffmann w Petersburgu wynaleźli nowy związek, naśladujący do złudzenia kauczuk i gutaperkę, posiadający wszystkie własności tych gumo-żywic, a, co niemniej jest ważnem, nierównie od nich tańszy. Do manipulacyi posługują skórki zajęcze i królicze, które oczyszcza się, ogołaca z włosa w kąpieli z wody wapiennej i wygotowywa w kotle z 5% co do wagi gliceryny, z najmniejszej możliwie ilości wody, dopóki cała masa nie przejdzie w stan płynny. W ten sposób otrzymuje się płyn gęsty, klejkowaty, który się następnie osusza i poddaje dalszym operacyom.

Na 3 części co do wagi tej masy, użyć potrzeba 3 części gliceryny i stopić mięszaninę w kąpieli wodnej lub parowej. Po dokonaniu tego, dodaje się $^1/_4$ część roztworu dwuchromianu potażu. Następnie masę przelewa się w formy, w których gęstnieje i przechodzi w stan stały, pod wpływem ciśnienia. Po wyjęciu z form sztuczny kauczuk suszy się w miejscu ciemnem i przewiewnem. Parowanie wody nadmiarowej odbywa się z większą nierównie szybkością w ciemności, niż w świetle, dlatego, że w tym ostatnim razie powierzchnia rzekomego kauczuku stawałaby się w bardzo krótkim czasie nierozpuszczalną pod wpływem światła i tworzyłaby powłokę, przeszkadzającą parowaniu.

Przedmioty z tej kompozycyi otrzymane są zupełnie podobne do wyrobów z kauczuku wulkanizowanego, a mają tę wyższość, że opierają się lepiej od niego działaniu ciepła.

Gdy chodzi o naśladowanie kauczuku stwardniałego, należy mniej użyć gliceryny, a więcej dwuchromianu potażu i mięszaninę osuszyć pod ciśnieniem między dwoma blatami metalowymi polerowanymi.

Kauczuk będzie posiadał twardość szkła, gdy zanurzymy przedmioty zeń wyrobione w roztworze ałunowo-chromowym, a następnie je wysuszymy.

Sztuczny kauczuk stwardniały, w ten sposób otrzymany, można przerzynać i polerować. Jeżeli wyrób ma opierać się wpływowi kwasów, potrzeba dodać 30% gumy lakowej, roztworzonej w alkoholu. Przez dodanie materyj barwnikowych naśladować można koral, malachit itp. Gdy przedmioty, wyrobione z takiego kauczuku, mają posiadać wielką sprężystość i opierać się silnemu ciśnieniu, jak np. obręcze kół wagonowych, potrzeba użyć tylko 1 część gliceryny i domieszać $^3/_4$ części odpadków korkowych.

Jeżeli kauczuk sztuczny ma posługiwać do wyrobu materyj nieprzemakalnych, dodaje się do mięszaniny $^1/_4$ część żółci wołowej z dostateczną ilością wody, dla nadania masie spójności gęstego oleju. Stosunek dwuchromianu potażu nie powinien wówczas przewyższać $^1/_4$ części.

Następnie wlewa się ten płyn do zbiornika z podwójną pokrywą, ogrzewanego purą, w którym obraca się cylinder; tkunina wtedy przechodząc pod cylindrem pozyskuje warstwę nieprzemakalną, niesklejającą się pod wpływem ciepła.

(D. n.).

*) W dawnym polskim języku glejtę nazywano *szumowiną*, *żużelicą*, *pianą srebrną*, a z niemiecka *glitą*.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Kazimierz Burzyński. **Tahir Bej.** powieść ze wspomnień życia obozowego. 2 tomy. Warszawa, 1886.

P. Burzyński już od lat dziesięciu występuje w piśmiennictwie polskiem ze wspomnieniami pobytu swego na Wschodzie, wyrażonemi bądź w formie artykułów o zakroju publicystycznym, bądź zwykłych opowiadań naocznego świadka. Ostatni utwór jego — *Tahir Bej* nosi nazwę powieści, jest on właściwie jednak również pamiętnikiem, chociaż nie w tem znaczeniu, żeby autor przedstawiał wypadki własnego życia, ale, w kreśleniu szczegółów, w luźnych epizodach, niewiążących się ściśle z treścią opowiadania, w uwagach wreszcie osobistych, widać niejednokrotnie odtworzenie własnych wspomnień, wnioski, stawiane na podstawie własnych doświadczeń. Mówi on o tem sam w przedmowie, nazywając utwór swój „wspomnieniem lat młodości“ i zaznacza to później niejednokrotnie w toku powieści. Jeżeli zwracam uwagę na ten szczegół, to nie dlatego tylko, że określa on sposób pisania i charakter książki; w dalszym ciągu sprawozdania wypadnie mi poruszyć sprawę niemałej wagi, przy roztrząsaniu której powołam się na świadectwo p. Burzyńskiego, trzeba więc, aby czytelnik wiedział, że jest to świadek wiarogodny, który mówi o tem, co widział, i tak szczery, że nieraz zeznaje sam przeciw sobie, a raczej przeciw tej stronie, z którą go łączą związki koleżeństwa i sympatyi.

Powieść zaczyna się w Warszawie, w r. 1863 i ciągnie dalej na emigracyi, z początku w Paryżu, a później na wyspie Krecie i w Bułgaryi. „Ani filozoficznej, ani społecznej strony tych przejść nie dotknąłem“— mówi autor — lecz że na tem tle posępnem życie moje rozwijać się zaczęło, z niego więc czerpię opowiadanie niniejsze.“ „Tendencyjnej powieści nie piszę“ — zastrzega dalej, ale zaraz potem dodaje, „jeżeli zestawienie faktów i wywód z onych, który czytelnik sam sobie przedstawi, do tej lub innej kategoryi tendencyi zaliczyć zechce— szczęść mu Boże! ja piszę, co czuję, lub opowiadam to, co widziałem.“ Może autor rzeczywiście nie chciał przeprowadzić żadnej tendencyi, ale dlatego właśnie, że w opowiadaniu jego znajdujemy wspomnienia ludzi żywych i wypadków przebytych, czytelnik opiera na dokumencie tym swe wnioski, które zahaczą i o społeczną stronę opisanych przejść, chociaż p. Burzyński dotknąć jej nie chciał.

Dodać tu muszę, że osnowa powieści w niektórych szczegółach nie jest prawdopodobną, chociaż niemożliwą nazwać jej nie ma zasady. Autor przewiduje ten zarzut i odpiera go zdaniem, iż „rzeczywistość, którą ludzie przechodzą, gdy życie wykolejone rzuci ich w sieć niepowodzeń lub pomyślności, intryg, zawiści lub poświęceń, życie takie nieraz o wiele przejdzie to, co się w romansach drukowanych spotyka.“ Według mnie zresztą, jest to rzecz drobna, wypadki mogą być nadzwyczajne, byle tło, na którem przedstawione, uchwycone było wiernie.

Bohater powieści, Antoni Czujski, kocha pannę Natalię Gricz, córkę obywatela ziemskiego, niepewnego pod względem narodowym pochodzenia, któryś kiedyś mieszkał w Odesie, ożenił się z bułgarką i potem zebrawszy miliony, osiadł na Podlasiu. Wypadki współczesne zmuszają Antoniego opuścić kraj: żegna się więc z narzeczoną potajemnie, w sposób nadzwyczaj romantyczny i bierze od niej słowo, że będzie mu wierną „aż do śmierci.“ Wkrótce potem widzimy go i przyjaciela jego Szuflę w Paryżu, dokąd przybyli po ucieczce z więzienia austryackiego w Iglawie. Jednocześnie prawie zjawiły się w Paryżu p. Natalia z matką, stary Gricz bowiem umarł, żona zaś jego przypomniała sobie, że ma w Paryżu brata, Pekowicza-Adetę, finansistę i patryotę słowiańskiego. Natalia nie mogła odszukać Czujskiego, ponieważ ten, według mody emigracyjnej, zmienił nazwisko, wuj i matka zaś nalegali na nią, aby oddała rękę p. Mengensternowi, niby to wychodźcy, ale bogatemu bankierowi, który zwyczajną „plajtę“ ukrywał pod płaszczykiem prześladowania politycznego. Sekretarz Mengensterna, także wychodźca, Wienerbrand, przyjaciel Szufli i Czujskiego, chłopak w gruncie rzeczy niezły, ale niezmiernie chciwy, za przyzwoite wynagrodzenie urządza intrygę i przekonywa Natalię, że Antoni zginął. Rozumie się, ona „robi ofiarę“ dla matki i wuja, chociaż nie wiadomo, z jakiej racyi, gdyż sama jest przecie milionerką i ślubuje miłość, wiarę i posłuszeństwo małżeńskie Mengensternowi, do którego czuje nawet wstręt fizyczny. Czujski jest już wtedy w Marsylii, dokąd go Wienerbrand wyprawił, ale Szufla dowiaduje się o zaślubinach bankiera, chce więc zerwać małżeństwo. Zamiar ten nie udaje mu się, gdyż zapłacony przez Mengensterna hrabia Michał, zbir salonowy, elegancki oszust i szubrawiec, znieważa biednego litwina

umyślnie i zabija go w pojedynku. Zbrodnia ta budzi w Wienerbrandzie wyrzuty sumienia ale jednocześnie wzruszenie i przeziębienie sprowadza nań tyfus. Przed śmiercią wyznaje on wszakże Natalii, że ją oszukał i że Czujski jest w Marsylii. Bohaterka, która faktycznie dochowała wiary swemu ulubionemu, gdyż chociaż zaślubiła Mengensterna, nie pozwoliła mu wypełniać obowiązków małżeńskich (w powieściach dzieje się to często), porzuca męża i spieszy odszukać kochanka, okazuje się jednak, że ten, otrzymawszy wiadomość o jej zdradzie i śmierci przyjaciela, wyjechał do Turcyi. Wtedy właśnie budzić się zaczął ruch narodowy wśród słowian południowych, Natalia — wiedziona sympatyą dla ciemiężonych, porwana gorącem słowem młodego patryoty bułgarskiego Draszkowicza, najwięcej zaś pobudzona nadzieją, że znajdzie ukochanego, który zapewne pospieszył na pomoc gnębionym braciom — jedzie do Bukaresztu i gorąco oddaje się propagandzie narodowo-rewolucyjnej.

Czujski tymczasem smutny, rozczarowany, szuka śmierci i żeby ją znaleść, zaciąga się do wojska tureckiego, do tego właśnie oddziału, który pod wodzą paszy Mustafy Bożęckiego wysłany został przeciw powstańcom greckim na Krecie. Romantyczny bohater w dziwny sposób jednak szuka śmierci, zapomocą fortelu sprząta placówki powstańcze i morduje greków tak zawzięcie, że nawet baszy-buzuki mogliby z nim współzawodniczyć. Straszny, wzruszający jest opis walki, w której oddział grecki ginie do szczętu, ale Tahir-bej (tak się nazywa Czujski), obchodząc zasiane trupami pobojowisko, nie czuje swej nikczemnej roli; on usprawiedliwia się tylko, że „nie po to przyszedł, nie tego szukał.“ W jaki zaś sposób oryginalny szukał śmierci, wskazuje dalszy przebieg powieści. Z Krety Tahir-bej przybywa do Stambułu, stamtąd zaś wyprawiają go do Bułgaryi, gdzie istnieje obawa powstania, poprzednio jednak udać się ma do Bukaresztu, ponieważ tam łączą się nici intryg rewolucyjnych, i zebrać potrzebne dla rządu tureckiego wiadomości. Rozczarowany kochanek wymawia się od tego polecenia, ostatecznie jednak jedzie do Rumunii w roli szpiega, bo inaczej zajęcia tego nazwać nie można. Tam spotyka się z Natalią, w której domu znajduje się główne siedlisko propagandy bułgarskiej. Kochankowie rozchodzą się, bo Tahir-bej nie może przebaczyć zdrady, ponieważ pomiędzy nimi „stoi słowo złamane;“ wyjeżdża więc z Bukaresztu, a w ślad za nim wyruszają powstańcy bułgarscy. I oto znowu zaczyna się straszna, rozpaczliwa, święta walka garstki bohaterów, chłopów i studentów z wyćwiczonem, karnem barbarzyństwem tureckiem. Natalia spieszy również na plac boju, bo szlachetna jej dusza nie może znieść myśli, „żeby on, polak, broczył swe ręce we krwi uciemiężonego narodu.“ Kiedy ona jednak pragnie ocalić ukochanego od hańby, romantyczny bohater morduje tymczasem na czele nizamów — powstańców bułgarskich i podczas boju filozofuje spokojnie: „Bydło, głupie bydło! Nu-że więc, idźcie mordować się wzajem w imię waszego Allacha, lub w imię waszego komitetu.“ „I śmiał się sam jeden wśród zapachu prochu, zimny, szyderczy“ — dodaje na wpół z uwielbieniem autor, który zresztą podziela poniekąd poglądy swego bohatera, bo dalej powiada: „I nie dziw! On widział przecie niegdyś inną, rozpaczliwszą walkę, w której utracił wszystko i wszystko przeżyć musiał. Począwszy od matki-ziemi, aż do ideału młodocianego serca, osierociło go wtedy wszystko. Jak więc miał patrzeć teraz na walkę, w której padały szlachetne, lecz głupie ofiary, wyzyskiwane przez szalbierstwo osobistych ambicyj tylko.“

„Jak miał patrzeć!“ W tem właśnie leży kwestya, o której pomówić chcemy, rozwiązanie jej podała już Natalia w tym wykrzykniku zranionej duszy: „to nie podobna, żeby on, polak, broczył swe ręce we krwi uciemiężonego narodu.“ Możnaby dodać jeszcze: narodu bratniego. „Jak miał patrzeć?“ — mniejsza o to, bo on powinien był walczyć po tej stronie, gdzie padały szlachetne ofiary, bez względu na to, kto i dla czego popchnął je na śmierć, gdyby miał w sercu iskierkę bodaj uczucia, gdyby zachował drobną cząstkę własnych wspomnień. Zapytać tu by również można: dlaczego ta „inna“ walka ma być lepszą?...

Już nie usprawiedliwienie, ale nawet rozgrzeszenie takich poglądów, jakie wygłasza Czujski, i czynów, jakie spełnia, jest ciężkim grzechem moralnym i politycznym. Jest tu i samolubstwo narodowe w najwstrętniejszej formie, bo poniewierające cudzem nieszczęściem i brak wszelkich zasad etycznych i ten tani pesymizm umysłów płytkich i charakterów słabych, prowadzący prostą drogą do utraty wszelkich uczuć szlachetnych i wreszcie ciemnota polityczna. Nie znam haniebniejszej karty w naszych dziejach, jak to najemnictwo emigracyi polskiej w służbie papieskiej, tureckiej, Maksymiliana lub don Carlosa. Zwykle zarzut tego rodzaju streszcza się w zdaniu, że polacy zaprzedali się w służbę skrajnej reakcyi. Gdyby o reakcyę chodziło—byłaby tu chociaż jakaś zasada. Ale jaką zasadę przedstawia barbarzyństwo tureckie, albo łotrowskie bandy hiszpańskiego pretendenta, albo ta zgraja rabusiów i galerników, co się wyprawiła po łup do Meksyku, a przy której nawet Cortez lub Pizarro wyrastają na bohaterów? Większość tych najemników polskich składała się z ludzi prostych, którzy przywykli już do próżniactwa i dla utrzymania życia woleli sprzedawać krew, niż pracę. Ale mieli oni wykształconych kierowników, hersztów, którzy formowali te bandy, kondotierów, którzy sprzedawali naukę swą i doświadczenie dla ciemiężenia i mordowania innych ludów. Dla tych nie ma przebaczenia, nie ma nawet okoliczności, łagodzących winę. Żadne sprawy osobiste nie zdołają usprawiedliwić tego występku; kto chce umrzeć — może odebrać sobie życie, jeżeli zaś nie ma do tego odwagi, niech szuka śmierci ale w sposób, który nie przynosiłby ujmy jemu i narodowi. Przecie łatwiej chyba zginąć było w szeregach np. greckich i bułgarskich, gdyby istotnie o śmierć chodziło, ale tych najmitów inne względy ciągnęły na stronę turecką: prowadziła ich tam samolubna polityka, nieliczącasię ze względami moralnymi, żołd obfitszy, nadzieja karyery itd. Można niekiedy przebaczyć ludziom, ale nie należy usprawiedliwiać ich czynów. P. Burzyński tymczasem robi z nich nieraz bohaterów. Oto np. Mustafa-pasza (Bożęcki) „samotny, bohaterski starzec.“ „Dziwne było jego życie! podobne nieco do życia Czujskiego: niósł je w ofierze, gdzie mógł. Grecy go nie sprzątnęli, aż dopiero na polu walki w Czarnogórzu, bez jęku, bez żalu, bez strachu skonał, nie wyrzekłszy słowa narzekania, z jedną w sercu wielką, dla świętej mu sprawy, miłością.“ Ładny frazes, ale okrywa on rzecz złą. Bożęcki *niósł życie w ofierze* dla świętej sprawy, mordując greków i czarnogórców, którzy walczyli za sprawę niemniej chyba świętą — i mordował ich „z jedną, wielką w sercu miłością.“ Co za straszne pogmatwanie pojęć moralnych! I jakże może być świętą zasada, która wyznającym ją w pewnej formie, pozwala zabijać i tępić innych, którzy tej samej zasady, tylko w odmiennej formie, bronią? Byli i są dziś jeszcze tacy ex-bohaterowie, którzy niosą życie w ofierze... w paryskiej prefekturze policyi, którzy „z jedną, wielką miłością w sercu“ piszą poufne doniesienia lub szpiegują tajemnice wojenne obcych państw — czem ci są gorsi od bohaterów, uśmierzających z wojskiem tureckiem „bunty“ serbów, greków lub bułgarów? W ciągu ostatnich lat dwudziestu nie ma takiej kałuży politycznej, w której ci panowie nie unurzaliby imienia polskiego, nie ma takiego szalbierstwa lub rozboju politycznego, do którego nie wynajęliby polskich głów lub rąk. Zaiste i oni powtórzyć mogą z poetą:

> Wszędzie, wszędzie na planecie
> Braci naszych ryty ślad.

tylko, że te ślady, które zostawiają oni, zanieczyściły i zatarły te szlachetne rysy, jakimi znaczyli swą wędrówkę „po planecie“ ich poprzednicy w smutnej doli. I długo, długo będziemy musieli wycierać i niszczyć w pamięci ludów Europy — tę hańbiącą spuściznę ostatniego wychodźtwa.

Pozostaje jeszcze rozwiązanie powieści. Natalia ginie od kuli bułgarskiej, zasłaniając swem ciałem Tahira, ten zaś ranny wyleczył się wkrótce i szukał zapewne dalej śmierci, bądź to szpiegując „intrygi“ bułgarskie, bądź karząc „buntowników.“ Oddział powstańczy wyginął do ostatniego żołnierza, ale ta śmierć „głupiego bydła,“ które umierało w imię komitetów, i szalbierstwo tych ostatnich wydały przecie inne, niż z ironicznych uwag autora sądzić można, rezultaty. Jeżeli major Tahir dotychczas nie znalazł śmierci, to widzi on dzisiaj Bułgaryę wolną i zjednoczoną, krew Draszkowiczów pomszczoną i ową sprawę — pogardliwie mierzoną z szlacheckiego punktu porównania bejów, ale niemniej świętą dla pastuchów bułgarskich — błyszczącą w aureoli szczęścia i swobody. I gorzko chyba rozmyśla Tahir bej o tej innej sprawie, o tych innych, zapewne „rozumnych,“ „uczciwych“ komitetach i o tej polityce, zarabiającej na utrzymanie życia sprzedażą krwi swojej więcej dającemu i wysyłającej na śmierć—nie „bydło“ w imię idei, ale „bohaterów“ dla zdobycia łupów meksykańskich — rozmyśla i powtarza wraz z autorem: „przed nami ciemno, za nami sterczy jak drogoskaz wielki cmentarz z rozsianych kości ludzkich.“ Oby tylko cmentarz, ale za działalnością Tahir-bejów sterczy jeszcze plugawe śmietnisko.

W...t.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Wakacyjne wędrówki. — Ludzie niespiewający. — Rozwiązanie stowarzyszeń studenckich. — Herkules wobec mrowiska. — Stary nałóg w Towarzystwie opieki nad zwierzętami. — Wzór zgody. — Nowy konkurs. — Memoryał komitetu giełdowego w odpowiedniem skróceniu.

Ludzie drugiego dziesiątka wieku, czarni, niebiescy i ciemnozieloni, rozpoczęli już swoją wakacyjną wędrówkę. Na stacyach kolei żelaznych z ubogimi tłomoczkami i jeszcze uboższemi głowami roją się do wylotu na świeże powietrze. Twarze mizerne, wynędzniałe, zmęczone. Widziałem kilka gromadek: byli w nich zapewnie i zwycięscy i zwyciężeni, a przecie wyglądali jednakowo — smutno. Kiedyśmy podobnie wracali przed 20 laty do rodzinnych ulów, z min młodych pszczółek można było od razu poznać, która niesie miód, która woszczynę, która nie zebrała nic w próżniactwie, lub połamała sobie skrzydła w nieszczęściu. Próbowałem więc i teraz rozpoznać charakterystyczne znamiona. Daremnie — wszystkie się zlewały we wspólny wyraz minionej choroby. Trzeźwy chłop polski nie śpiewa, robotnik również, oficyalista bardzo rzadko — śpiewają mieszczanie i arystokraci. Jest to zrozumiałem, ale dlaczego nie śpiewa mło-

de serce, które jeszcze nie dźwiga trosk życia samodzielnego? Zagadnąłem jednego z tych niemych ptaszków:

— Obciąłeś się?..

Spojrzał na mnie z uwagą:

— Jestem pierwszym — odrzekł.

— Jedziesz do rodziców?..

— Tak.

— I nie śpiewasz?..

Ruszył ramionami, jak gdybym go spytał, czemu nie ogryza sobie paznokci.

Każdy z was zapewne miał w ręku brelok, laskę lub jakiś inny przedmiot galanteryjny, w którym umieszczone szkiełko powiększające, przysunięte do oka, ukazywało obrazek. Taką niespodziankę sprawiają nam różne, napozór małoważne pytania, przez które widać wielkie sprawy społeczne. Dlaczego trzeźwy chłop nie śpiewa? Zdaje się, że o tem myśleć nie warto, a jednak zajrzyjmy głębiej w to spostrzeżenie, zobaczymy przyczynę zastanowienia godną. Podobnie rzecz się ma z kwestyą: czemu młody człowiek nie śpiewa? Podczas letnich upałów, odpoczywając pod cieniem drzew, spoglądajcie sobie dla zabawki w to szkiełko.

Dziś już nawet studenci polscy na uniwersytetach niemieckich śpiewać przestaną, gdyż rząd pruski, nienasycony w swej nienawiści, rozwiązał im wszystkie stowarzyszenia, które również zagrażać miały bezpieczeństwu Niemiec. Chyba umarli zaczną pisać satyry. Ten widok pastwienia się olbrzymów nad bezbronnymi i niewinnymi robakami jest nietylko ohydnym, ale także śmiesznym. Proszę wyobrazić sobie Herkulesa, zajętego ustawicznie rozkopywaniem mrowisk i osadzającego na szpilkach mrówki. Dodać trzeba, że nie one do jego domu się zakradły, ale on na ich siedzibie dom swój zbudował. Półbóg niemiecki, podsadzany ustawicznie z dołu, wznosi głowę coraz wyżej w olimpijskie chmury, a jednocześnie coraz niżej spuszcza swą maczugę. Co zrobił od r. 1870 oplatającego mu czoło nowym liściem wawrzynu? Kilka szczęśliwych „pośrednictw,“ kilkadziesiąt szachów dyplomatycznych, wiązkę praw wyjątkowych, parę bezpłodnych nabytków kolonialnych i kadź napełnioną roztopionym ołowiem, w której mają się usmażyć najbiedniejsi z biednych. Gdzie tu tkwi wielkość?.. Czy odcisnął się najmniejszy jej ślad w zamknięciu konstytucyjnie uprawnionych stowarzyszeń młodzieży polskiej? Według ministra Goslera, uprawiała ona politykę. Znałem kilka takich ognisk, rzeczywiście rozprawiano w nich nieraz na temat rozmaitych pamiątek historycznych, ale z polityką bieżącą załatwiano się zwykłym katechizmem. O jakiejkolwiek działalności na tem polu nie było mowy, nawet o takiej, jaką prowadzi najmizerniejszy *Verein* niemiecki, tupiący lub suwający nogami na wykładach profesorów. Skupiały się gronka siłą powinowactwa narodowego; jedni marzyli, drudzy czytali swe prace, inni używali przyjemności spotkań towarzyskich — ot, na tem ograniczały się ich wrogie zamiary względem państwa niemieckiego. I za to rozdmuchano ich na cztery wiatry, jak garść kurzu, który gryzł w oczy potężnego człowieka. Znowu kawał konstytucyi został oberwany, ale kogo ona już dziś w Niemczech obchodzi! W każdym razie nie tych, którzy są mocni liczbą. Jeśli wszechmocna wola zażąda od nich, ażeby chodzili na czworakach, niewątpliwie chodzić będą — i to dumnie!

Gdyby wiele z tych win, o które nas oskarżają, było prawdziwych, serdecznie podziękowałbym za nie losowi. Mianowicie mamy być znakomitymi tkaczami „intryg“ i „knowań.“ Grzechy te wymagają konieczne zdolności organizacyjnej, której w naszem plemieniu nie widzę i której brak głównie nas gubi. Za ten przymiot w teraźniejszości odstąpiłbym pół kopy magnatów z przeszłości i Radziwiłła Panie Kochanku ofiarowałbym w dodatku. Można gąbkę skleić z krzemieniem, orać koniem i krową, ale związać i sprządz polaka z polakiem trwale — to przechodzi siły ludzkie. Według przysłowia między dwoma jest trzy zdania, tysiąc pretensyj, milion obrażonych ambicyj. Zajrzyjcie, gdzie chcecie: do spółek przemysłowych, stowarzyszeń, pism peryodycznych, wszędzie duch niezgody rogi wam pokaże. Była w Warszawie instytucya, która nie odznaczała się ruchliwością, ale przynajmniej nie ulegała secesyom i konfederacyom. Ale i na nią przyszła kreska: mówię o Towarzystwie opieki nad zwierzętami. Odbyło ono właśnie walną naradę, na której — rozumie się — kilku członków niezadowolonych wystąpiło. To jeszcze nie byłoby *nasze* — naszem jest dopiero usprawiedliwienie odszczepieństwa. Rzecznik secesyonistów, skreśliwszy dzieje nierządu Towarzystwa, przyznał (według *Kur. codz.*) nowemu prezesowi zasługę przywrócenia ładu, ale „ponieważ porządek obecny, wskutek *wewnętrznych rozterek*, utrzymać się *nie może*,“ więc doświadczeni postanowili się usunąć. Za rok zrobią to inni, za dwa — inni, za trzy — inni, na ich miejsce wejdzie zastęp świeży, ale również rozpocznie emigracyę — i tak dalej, dopóki kulejąca instytucya nie upadnie. Gdy wyszły edykty pruskie, płakaliśmy i szydzili. Gdy nas spotka jakieś nieszczęście zewnętrzne, także skargę przeplatamy ironią. Ale gdy spojrzymy w głąb naszej natury, gdy tam dostrzeżemy stary i zabójczy nałóg chorobliwego indywidualizmu, bezpłodnego luzactwa, niezdolności do pracy zbiorowej — wtedy już nam na śmiech siły nie stanie. Bo życie od cudzego na nie zamachu osłonić można, ale od własnego — nie. Popęd samobójczy jest niezwalczonym.

Jakkolwiek wynik konkursu dramatycznego uległ w krytyce tak znacznej redukcyi, że już dziś o nowonagrodzonych geniuszach heroldowie milczą, pod jednym względem był on rzeczywiście zjawiskiem niezwykłem: sędziowie wydali jeden wyrok zgodnie, a co do innych nie pokłócili się, nie zapisali do akt grodzkich protestu, przeciwnie okazali solidarność. Jest to lepszy wzór, niż „Albert wójt krakowski“ w przypalonym sosie niezręcznych kucharzów. Gdy więc toż samo grono ogłosiło nowy konkurs, wróżę mu zupełne powodzenie, chociażby nawet zgarnął tylko trochę rzęsy z naszej sadzawki literackiej. Bo mam nadzieję, że i tym razem nie pokłóci się, a komu przyzna 1000 lub 500 rs. nagrody — to już mniejsza. Ani za tę, ani za żadną cenę Shakespeare'a i Moliere'a nie kupi, złotą pałeczką genialnych duchów nie wywoła, połechcze tylko drzemiące talenty lub ambicye, które coś na świat wydadzą. Tak go szanuję za dobry przykład łączności, że nie wymawiam mu ponownie pewnej koteryjności w doborze sędziów. I to nasza wada, ale daleko znośniejsza od rozprężliwości. Niech się łączą ludzie jednej gminy, jednej wsi, jednego kumowstwa, aby się łączyli.

Przyszły turniej dramatyczny ochrzczono imieniem Żółkowskiego. Należał się ten zaszczyt tytanowi naszej sceny, któremu ostatnie lata pracy publiczność i pisma uprzyjemniają ciągłymi dowodami szczególnej sympatyi.

Mamy wreszcie po krótkiej przerwie niezbędny hałasik. Warszawski komitet giełdowy złożył komisyi do spraw żydowskich memoryał, będący obroną izraelitów od zamierzonych przeciw nim ograniczeń. Memoryał ten dostał się do rąk *Niwy*, która podała go w odpowiedniem skróceniu i opatrzyła uwagami. Uważa ona go za objaw „zdumiewającej pychy, i lekkomyślnej chełpliwości,“ za „apologię żydowstwa, uwydatnioną na czarnem tle rdzennie tutejszego żywiołu, postawionego pod pręgierzem niedołęstwa, niezaradności, lenistwa, grubości obyczajów itd...“

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Prawidłowość wypadków. — Obrona „świętych praw.“ — Polemika w Łodzi. — Dobre chęci w parze z niedołęstwem. — Patryotyzm polski odradza się w Sosnowicach. — Projekty cukrowników. — Łakomstwo chłopskie.

Charakter ważniejszych wypadków w kronice zmienia się ze stale powtarzającą się prawidłowością. W zimie mamy kradzieże leśne, potem zaczynają się roztopy i psują się drogi, potem w wezbranych rzeczkach i nowo-utworzonych kałużach topią się dzieci chłopskie, potem palą się wsie i miasteczka, dalej idą: wystawa, wyścigi konne i artykuły o posłannictwie stanu ziemiańskiego, potem jeszcze skargi na robotnika wiejskiego, wreszcie w jesieni znowu psują się drogi, zaczynają się utyskiwania na współzawodnictwo Ameryki, rozsyłają się kwestyonarze i wzrasta nastrój antysemicki, ponieważ żydzi zboża kupować nie chcą. W tak prawidłowo działającym mechanizmie łatwo odgadnąć, co w danym czasie nastąpić powinno i zgóry określić można charakter wypadków, o których kronikarz bieżącego życia z obowiązku swego mówić będzie.

W końcu czerwca np. dojrzewają jagody i zaczyna się grzybobranie. W związku z temi zjawiskami naturalnemi znajdują się odpowiednie zjawiska społeczne a raczej porządku społecznego, opartego, jak wiadomo, na zasadzie świętych praw własności. W obronie tego palladium ładu i moralności płynie nawet nieraz krew, chociaż, rozumie się, tylko krew chłopska. W majątku Zemborzyce, pod Lublinem, gajowy, obchodząc las, spotkał gromadkę włościan, właściwie bab i wyrostków, zbierających poziomki i grzyby. Jakkolwiek dwór zwykle jagód i grzybów nie zbiera, a gdyby nawet to czynił, to przecie całego ich zapasu nie zużytkuje, pilnuje jednak gorliwie „świętego prawa“ i w tym celu wydaje surowe instrukcye gajowym. Organ ochrony własności zaczął więc obdzierać schwytanych na gorącym uczynku szkodników, kiedy zaś ci opierali się, wystrzelił i ranił śrutem w twarz jednego z nieposłusznych. Przestępca, chociaż poniesie karę, nie jest w tym wypadku głównie winnym, działał on z pewnością nie z własnej inicyatywy, lecz słuchał tylko rozkazu. Ciężar występku obarcza tego, kto pośrednio lub bezpośrednio takie rozkazy wydaje, dla kogo garstka jagód lub koszyk grzybów, z których sam zresztą nie skorzysta, które zginą bezużytecznie — więcej warte są, aniżeli życie lub zdrowie ludzkie.

Wobec tej surowości, tem gorszej, że bezcelowej dziwnie wygląda łagodność, czyli raczej niedbalstwo innego obywatela ziemskiego. W majątku Lipiny, pod Warszawą włościanie, nie zwracając niczyjej uwagi, wyrąbali do szczętu 16 morgów lasu, na których było około 5,000 sztuk drzewa i sprzedali wszystko na targach w Warszawie. Kiedy już cała ta operacya pomyślnie się ukończyła, właściciel spostrzegł dopiero, że brakuje mu dziesiątej części lasu. Wtedy „energicznie“ (tak!) zaczął poszukiwać winnych, którzy, rozumie się, nie byli tak głupi, z wyjątkiem kilku niedołęgów, żeby zachowywać dowody dokonanego nadużycia.

Dwa te fakty, tak niezgodne z sobą, łączą się jednak nieraz „w jedni realnej;“ ten sam człowiek, który zabrania zbierać chłopom poziomek i grzybów, pozwoli so-

bie bezkarnie ukraść z pod nosa kawał lasu. Właściwe nam niedołęztwo zabija wszelką systematyczność w postępowaniu, ale to samo niedołęztwo miewa przypadki krewkości, wtedy czepia się szczegółów, na nich skupia całą energię i łatwo przechodzi w samowolę. Dlatego to okrucieństwo nasze bywa tak bezmyślnem, jak liche jest nasz porządek.

Niemcy i w okrucieństwie i w porządku są bardziej konsekwentni. Niejaki p. Eisert, fabrykant z Łodzi zaskarżył do sądu robotnicę o kradzież zwitka wełny, wartości 40 kopiejek. Winna poszła na 6 tygodni do kozy, pozostawiając bez żadnej opieki dwoje maleńkich dzieci. Przeciw p. Eisertowi wystąpiła *Lodzer Zeitung*, która nie broniąc bynajmniej kradzieży, utrzymywała, że p. Eisert nie postąpił „jak chrześcianin,“ kiedy dla marnych 40 kopiejek podał skargę i naraził dzieci na głód i nędzę, a może śmierć nawet. Zaczepiony fabrykant odpowiedział, jako obywatel, że każdą kradzież, bez względu na okoliczności uboczne, uważa za swój obowiązek karać surowo, jako chrześcianin zaś dodał, że ios dzieci obchodzić go nie może, ponieważ są one... nieślubne. Z tego powodu wywiązała się polemika między dwoma gazetami niemieckiemi, do której wtrącił się i *Dziennik łódzki*, oświadczając, że i on niepochwala kradzieży w fabrykach i domaga się kar surowych, jednak co do dzieci nieprawych jest nieco innego zdania. Polemika posiada jedną bardzo ciekawą stronę. Kiedy *Lodzer Zeitung* od pojedynczego wypadku przeszła do wyświetlenia rozmaitych nadużyć w stosunkach przedsiębiorców do robotników, w *Tagblacie* miejscowym ukazała się odezwa za podpisem kilkudziesięciu fabrykantów z groźbami dla niedzielikatnej gazety. Na pogróżki te *Lodz. Zeitung* w kilka dni potem odpowiedziała bardzo wymownie: jak tylko gazeta wystąpiła przeciw nadużyciom fabrykantów, liczba jej prenumeratorów wzniosła się szybko w ciągu dni kilku. Okoliczność tę powinien wziąć na uwagę, wahający się w różne strony *Dziennik*. Jest ona ubocznem potwierdzeniem tego, co mówiliśmy kiedyś o naturalnem stanowisku pisma polskiego w Łodzi. Ludność polską w tem mieście stanowią wyłącznie prawie robotnicy lub też niezbyt liczna garstka przedstawicieli inteligencyi, którzy bez wyjątku prawie są także robotnikami najemnymi, tylko wyższej kategoryi, nie mogą więc mieć szczególnego nabożeństwa do interesów kapitału. Ten stan rzeczy określa wyraźnie stanowisko pisma polskiego, które przedewszystkiem powinno wziąć na siebie obronę interesów warstw pracujących, wtedy bowiem nietylko pozyskałoby trwałe warunki istnienia, ale i pewną siłę przyciągającą, bodajby względem tych żywiołów, których prenumerata zasiliła tak niespodziewanie kasę redakcyjną *Lodzer Zeitung*. Takie oddziaływanie miałoby większą obywatelską doniosłość, aniżeli umizgi do tych, „którzy żyli się z krajem i są jego dobrymi synami,“ i większą korzyść przyniosłaby taka asymilacya, aniżeli zjednywanie pp. Scheiblerów, Geyerów, Eiserów, Enderów i innych, bez których moglibyśmy obyć się wybornie. Przemysł łódzki nie dlatego jest obcym, że fabryki należą do niemców, ale że robotnicy w znacznej części są niemcy i nie zbliżają się z żywiołem krajowym. W tem spoczywa węzeł kwestyi i wszelkie usiłowania obywatelskie, chociażby zamierzone na małą skalę, chociażby nie rokujące zbyt prędkich rezultatów — powinny być wyłącznie na ten punkt skierowane.

Już nie na siłę przyciągającą, ale nawet na oporność inteligencyi polskiej liczyć nie można. Mieszkańcy Ozorkowa skarżą się np., że „zmuszeni“ są czytać książki niemieckie, których im dostarczają usilnie kolporterowie, ponieważ polskich dostać w mieście nie można. Pożądanem byłoby, mówi dalej korespondent, żeby kto założył u nas czytelnię i księgarnię, ponieważ chęć czytania książek polskich bez zaprzeczenia istnieje. Dalej idą znane frazesy o miłości dla mowy ojczystej, których nie powtarzam. Nie przeczę, że założenie czytelni byłoby pożądanem i że księgarze polscy mogliby gorliwiej prowadzić kolporteryę, ale nie bardzo wierzę w tę chęć gorącą, która nie zdobywa się na wysłanie listu z pieniędzmi do Warszawy, lub na założenie czytelni domowej, z której użytkować by mogła pewna liczba rodzin. Przecież nawet u nas istnieją po wsiach takie spółki dla zakupu książek, które potem rozlosowują się między uczestników. Wartoby niezaradnym mieszkańcom Ozorkowa odbyć na jesieni wycieczkę do kolonij czeskich na Wołyniu. Zobaczyli by oni wtedy, w jaki sposób wyraża się zamiłowanie mowy ojczystej. Włościanie czesi po żniwach zbierają składkę i za wspólne pieniądze sprowadzają sobie z Pragi pakę książek, która wystarcza im do czytania na rok cały, trzeba tu dodać jeszcze, że sprowadzanie jest dosyć uciążliwem, książki bowiem idą najprzód do cenzury w Kijowie i stamtąd dopiero wracają napowrót. Z Ozorkowa do Warszawy jest znacznie bliżej i przeszkód żadnych być nie może. Jedynym winowajcą jest tu niedołęztwo mieszkańców, bo gdyby księgarze przekonali się, że mieszkańcy Ozorkowa rzeczywiście pragną czytać książki polskie, natychmiast założyli by czytelnię i otwarli agenturę komisową. Trudno znowu wymagać od kupca, żeby bez pewności pomyślnych rezultatów ryzykował nakład, to rzecz jego dobrej woli; budzić ospałych i pobudzać do energii niedołęgów nie jest wcale obowiązkiem księgarskim. Zresztą, gdyby sprowadzanie polskich książek do Ozorkowa było dobrym interesem, znalazł by się *niemiec*, który by to uczynił.

Podkreślam *niemiec*, bo bez jego inicyatywy nawet odpór względem niemców nie ma u nas powodzenia. Kto nie pamięta, jak odgrażaliśmy się, że nie kupimy za grosz towarów niemieckich i kupujemy je tak samo a może więcej niż poprzednio. Teraz dopiero przykład patryotyzmu dają... Sosnowice. Trudno uwierzyć a jednak tak jest w istocie. Polscy mieszkańcy tej osady dawno już kiwali palcem w bucie na niemców, od których sprowadzali nawet mleko. Dopiero niedawno, z powodów niewiadomych, niemcy sosnowiccy pokłócili się z niemcami katowickimi i stan rzeczy zmienił się od razu. Produkty spożywcze znalazły się w okolicy, inne zaś towary sprowadzają z Galicyi, niektóre z Wiednia nawet, chociaż to drożej kosztuje. Niemcy sosnowiccy, płacąc, krzywią się i mruczą, „aber niech te huncwoty prusaki znają nasz polski natura.“ Jeżeli kupcy z Katowic nie potrafią przebłagać landsmanów, łatwo stać się może, iż wbrew przewidywaniom p. Szarapowa, Sosnowice nietylko przestaną być wysuniętą placówką germanizmu, ale staną się nawet ogniskiem słowiańskiego odrodzenia. Gdyby jeszcze zmiana ta okazała się zyskowną, nawrócenie na patryotyzm polski niemców sosnowickich nie podlegałoby wątpliwości.

Wogóle zysk jest najmocniejszym cementem przyjaznych stosunków. Na zjeździe cukrowników w Petersburgu zarysowały się w niektórych kwestyach dwa obozy: producentów z Królestwa i z Cesarstwa. Niektóre środki, obrachowane, rozumie się, na korzyść cukrowników, zalecano nawet w pismach naszych z patryotycznego punktu widzenia, znalazły się również pisma rosyjskie, które z tej samej zasady broniły innych środków, właściwie zaś chodziło o to, że pewne zmiany korzystniejsze były dla cukrowników z Królestwa inne zaś — dla cukrowników z Cesarstwa. Pisma, broniące interesów spożywców, bez względu na język, jakim pisały, utworzyły razem trzeci obóz, zgodnie oświadczający się przeciw wszelkim ograniczeniom przymusowym produkcyi. We wrzawie walki dwóch stronnictw producentów do czasu to tu, to tam rozlegał się okrzyk: „unormowanie produkcyi,“ tj. po prostu ograniczenie jej do pewnego minimum. W tym punkcie zeszli się przeciwnicy, w następstwie czego odbyły się wzajemne wizyty i narady, poczem delegat cukrowników z Królestwa „mile witany był w Kijowie,“ zaś hr. Bobrynskij (tak głosi telegram) „przyjęty został serdecznie przez fabrykantów polskich w Warszawie.“ Rezultatem tych przyjemnych wizyt i prawdziwie polskiej gościnności jest właśnie projekt ograniczenia produkcyi cukru, przeznaczonego na spożycie wewnątrz państwa, do $19\frac{1}{2}$ milionów pudów rocznie.

Z projektem tym pp. cukrownicy kołatać znowu zamierzają do ministeryum finansów, które dotychczas opierało się dosyć wytrwale ich natarczywym prośbom. Skąd jednak wzięła się ta cyfra $19\frac{1}{2}$ milionów pudów? Projekt odpowiada, że spożycie wynosi właśnie tyle, według danych statystycznych. Jakich danych — niewiadomo, ale wiadomo dobrze, że nie ma żadnych zasługujących na wiarę, szczególniej, jeżeli dotyczą spożycia. Są jednak dane pośrednie. Norma jest o 5% niższą od przeciętnej produkcyi za lat pięć, w ostatnich latach rzeczywiście istniała nadprodukcya dosyć znaczna, ale w poprzednich ceny cukru rosły ciągle, nie dla czego innego chyba, tylko dlatego, że zapotrzebowanie przewyższało podaż. Nie można zaś dokładnie obliczyć: czy i o ile nadprodukcya w latach ostatnich, przewyższała brak w latach poprzednich. Zresztą istnieją inne jeszcze dane o spożyciu, wyprowadzone za lat kilkanaście z obliczeń cyfry produkcyi, po odtrąceniu istniejących obecnie zapasów i wywozu. Tak np. p. Wolff utrzymuje, że roczne spożycie cukru wynosi $24\frac{1}{2}$ milionów pudów (licząc w państwie rosyjskiem 95 milionów mieszkańców), p. Tołpygin zaś określa normę spożycia w 1886 r. na $21\frac{1}{2}$ mil. pudów. Nie wiem, czy cyfry te zasługują na zupełną wiarę, ale i cyfry autorów projektu także nie są niczem poparte, różnica zaś między niemi jest tak znaczną, że w razie gdyby pierwsze okazały się prawdziwemi, ceny cukru podskoczyłyby gwałtownie, wiadomo bowiem, że brak towaru na rynku reaguje silnie bardzo na jego ceny, które wtedy dla wielu stały by się nieprzystępnemi. Nastąpiła by więc znowu nadprodukcya, która i dzisiaj jest względną tylko, objektywnie bowiem spożycie cukru jest niedostatecznem.

Dzisiaj jeszcze cukier z powodu ceny swojej jest dla ludu za drogim, albo dokładniej mówiąc, lud nasz jest za ubogim, żeby mógł go kupować. Nietylko cukier zresztą, ale nawet mięso dla wieśniaka jest zbytkiem. Kuryery opowiadają właśnie z oburzeniem o przykładzie chłopskiego łakomstwa. Krowę, która była chora na karbunkuł, właściciel jej dorżnął i sprzedawał mięso, żeby jednak zachęcić kupujących, którzy mieli pewne wątpliwości, ugotował mięsa i zjadł je. Na drugi dzień potem włościanin ów umarł, co się zaś stało z kupującymi, czy jedli mięso i czy umarli również—niewiadomo. Chłop, który je padlinę, czyni to, niestety, nie przez łakomstwo, ale dlatego, że niestać go na kupno mięsa. Widziałem sam przykłady, że włościanie odkopali wieprza, który zabity został, ponieważ wściekł się, i zjedli go, odciąwszy przed tem łeb, w którym, według ich zdania, chowa się wścieklizna. Czynią to zawsze zagrodnicy, komornicy i inni przedstawiciele proletaryatu wioskowego, zamożny gospodarz nigdy czegoś podobnego nie zrobi, nie tknie on nawet mięsa z bydlęcia chorego, chociażby choroba nie była zaraźliwą. Często bardzo

włościanie nie chcą kupować nawet mięsa wtedy, jeżeli bydlę było skaleczonem, złamało nogę itd. i już chore zostało dorżnięte. Jeżeli więc nasz chłop, który w jedzeniu jest wybrednym i nigdy jak np. niemiec lub czech nie będzie jadł kota lub psa, nieraz nawet królika, przełamuje swój wstręt i spożywa padlinę, to chyba nie przez łakomstwo to czyni.

J. Nieborski.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Wystawa nasion w muzeum przemysłu i rolnictwa otwarta zostanie w październiku. Deklaracye przyjmują się do 15 września. Mogą być przedstawione nasiona zbóż, warzyw, roślin pastewnych, oleistych, farbiarskich, miododajnych i drzew.

Ciekawe cyfry. Kasa imienia Mianowskiego liczy najwięcej, bo przeszło 500 członków w Warszawie, dalej idą: Lublin — 70 członków, Kijów — 39, Petersburg — 33, Irkuck — 26, gubernia wołyńska — 21 i podolska — 15. Tula daje więcej członków (12), aniżeli miasta gubernialne Królestwa, z wyjątkiem wymienionych, oraz Kalisza i Radomia; w Wilnie jest członków tylko 8, w Suwałkach — 4, tyleż, co w gub. taurydzkiej (Krym); w Grodnie 2, t. j. tylu, co w Ołonecku i Penzie itd. Zestawienie tych cyfr tak jest wymowne, że wszelkie uwagi są chyba zbyteczne.

Obłożenie cłem wyrobów litograficznych zatwierdzone zostało przez Radę państwa.

Plan Warszawy o wielkiej skali opracowuje wydział mierniczy przy zarządzie kanalizacyjnym.

Muzeum pszczelnicze w ciągu lat trzech wydało świadectwa na wykwalifikowanych pszczolarzy 202 osobom. Cyfra ta sama przez się dosyć znaczna maleje przy zestawieniu z cyfrą uczących się pszczelnictwa przez dłuższy lub krótszy przeciąg czasu, których było około 4,000 osób.

Sędziowie przysięgli będą teraz mieli możność wpływać na zmianę pytań, ułożonych przez sąd i wręczanych im dla dania odpowiedzi. Odpowiednie artykuły ustawy o postępowaniu sądowem w sprawach karnych (762, 764, 808 i 816) zostały zmienione.

Szkoła telegrafistów otwartą będzie w Petersburgu z początkiem roku szkolnego. Wstępujący winni przedstawić świadectwo z ukończenia średniego zakładu naukowego. Kurs nauk trzyletni. Wychowańcy otrzymują stypendya po 25 rs. miesięcznie, jeżeli zaś znajdują się w służbie rządowej — pensyę, którą pobierają dotychczas; po ukończeniu szkoły otrzymują stopień inżenierów-telegrafistów.

Zmiany. Na miejsce prof. J. Aleksandrowicza dyrektorem ogrodu pomologicznego mianowany został p. Bielajew; uczniowie szkoły ogrodniczej zostali rozpuszczeni na czas nieograniczony, ponieważ szkoła ma być zreorganizowana.

Adwokatura. Dzienniki rosyjskie podają wiadomość, że wkrótce już we wszystkich okręgach sądowych utworzone zostaną rady adwokackie, które będą przedstawiały kandydatów na adwokatów przysięgłych. Liczba adwokatów żydów ma być ograniczoną do 10% ogólnej cyfry.

Hojność. P. Sembrich-Kochańska, wielbiona przez warszawskich i lwowskich patryotów nietylko za głos swój ale i za ofiarność obywatelską, znaczną część dochodu ze swych występów w Berlinie przeznaczyła na rzecz różnych instytucyj niemieckich.

Niedbalstwo. Grobowce Władysława Hermana i Bolesława Krzywoustego w katedrze płockiej znajdują się w stanie zupełnego zaniedbania, oprócz tego w kaplicy, w której mieszczą się one, księża urządzili skład różnych rupieci kościelnych. To się nazywa, że „czcigodne duchowieństwo nasze strzeże gorliwie pamiątek narodowych."

Pożyczka. Najubożsi obywatele Grodna otrzymać mają pożyczkę rządową w kwocie 322,000 rs. na 4%, z umorzeniem w ciągu lat 26. Miasto przyjmuje odpowiedzialność za wypłatę długu.

Bank ziemski w Wilnie wystawia na sprzedaż 328 majątków ziemskich w sześciu t. zw. guberniach północno-zachodnich, mianowicie w grodzieńskiej 77, witebskiej 57, kowieńskiej 55, wileńskiej 52, mohylewskiej 50 i mińskiej 37. Większość tych dóbr należy do osób pochodzenia polskiego, niektóre zajmują znaczne obszary np. Hitezowka 24,500, Jakimowicze i Sielec 23,000, Marailin 14,000 dziesiatyn; wogóle zaś trzecia część majątków posiada więcej niż 2,000 dzies. rozległości.

Rozporządzenie. Rząd niemiecki wydał rozporządzenie, zabraniające przyjmować telegramów w *językach słowiańskich.* Depesze mogą być wysyłane we wszystkich innych językach europejskich, nawet w portugalskim.

Bibliografia. Aleksander Walicki. *Błędy nasze w mowie i piśmie, ku szkodzie języka polskiego popełniane, oraz prowincyonalizmy.* Wydanie trzecie. Warszawa.

— St. Rossowski. *Poesye.* Lwów.

Verdi napisał nową operę: *Otello.*

Oburzenie. Z Belgradu rząd serbski wydalił kilkudziesięciu niemców, z powodu złego prowadzenia się; gazety berlińskie wyrażają się o tym fakcie z wielkiem oburzeniem!

Wytrzymałość. Niejaki Mikołaj Kramarski rodem z Kut, b. żołnierz austryacki. w ciągu 14-letniej służby wojskowej, od 1850 do 1864 roku otrzymał 21,000 rózeg i 1,180 kijów. W świadectwie o dymisyi Kramarskiego zapisano skrupulatnie wszystkie wyroki, okazuje się, że otrzymał on jednego razu 5,400 rózeg w ciągu dnia. Przy wystąpieniu z wojska na pożegnanie dano mu 165 kijów. Oprócz tego Kramarski przesiedział 18 miesięcy i 23 dni w więzieniu. Karany był 63 razy, głównie za zbiegowstwo, kradzież i hardość. Pomimo tych strasznych kar, Kramarski, liczący dzisiaj 60 lat, ma się dobrze i siedzi obecnie w więzieniu w Czerniowcach, oskarżony po raz osiemnasty o kradzież.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 20 Іюня 1886 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.